BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Cena 1 zł

GEMMA CIVITATIS · PAX ·

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII Warszawa, 22 kwietnia 1956 r. Nr 16 (542)

Biblioteka Uniwersytecka

CW 9013

WŁADYSŁAW LECH TERLECKI

TRISTAN I IZOLDA

„Dostojne panie i pancwie miłościwi. Czy wola wasza usłyszeć piękną opowieść?... Słuchajcie, w jaki sposób, w wielkiej radości i w wielkiej żałobie miłowali się, później zasię pomarli w tym samym dniu, on przez nią, a ona przez niego“.

(Z nie napisanego opowiadania łysego mężczyzny).

STOPNIOWO sala zapełnia się ludźmi. Przez otwarte szeroko drzwi zaglądają poważni mężczyźni w czarnych adwokackich togach. Przyglądają się obojętnie rozgorączkowanej sądowej gawiedzi, przez moment patrzą uważnie na dwie postacie z ławy oskarżonych, potem kręcą głowami i odchodzą do swoich spraw.

Tristan. Pochylony przez poręcz balustrady rozmawia ze swoim obrońcą. Przystojny, młody chłopak o kędzierzawej blond czuprynie. Marszczy teraz brwi i uważnie przysłuchuje się słowom mężczyzny w todze. Gdyby nie to, że rozmowa ma miejsce w dużym, mrocznym budynku sądowym — można by przypuszczać, że rozmawiają z sobą dwaj krewni. Pan w todze jest pewny siebie i ta pewność udziela się jego klientowi.

Dalej spokojna, surowa twarz milicjanta. Za chwilę człowiek w srebrnym łańcuchu otworzy przewód sądowy.

Oto historia Izoldy.

Miała szesnaście lat, kiedy do małej warmińskiej wsi dotarły pierwsze oddziały przepędzające Niemców. Z całej rodziny żyła jeszcze wówczas chorująca babka. Ojciec i matka zmarli wcześniej. W kilku domach zatrzymano się na postój, i po dwóch dniach oddział przepędzający Niemców zaczął przygotowywać się do wymarszu. Wtedy to pewien młody oficer poprosił Izoldę do samochodu. Niech pokazuje drogę. Po kilku kilometrach oczywiście wróci. Zawsze lepiej wierzyć człowiekowi niż mapie...

Kilka kilometrów okazało się dla szesnastoletniej dziewczyny bardzo dalekim odcinkiem drogi. Miała się ona skończyć dopiero w Berlinie... Kiedy Izolda przestała się podobać pewnemu młodemu oficerowi, zaopiekowali się nią inni. Tak przeszła przez cały pluton. Smutna, beznadziejna markietanka wielkiej wojny. Po zdobyciu Berlina, kiedy w mieście pozostała tylko załoga — Izolda urodziła dziecko. Któryś ze starych przyjaciół poradził wtedy:

— Nie masz tu już nic do roboty. Wracaj do swoich...

— A dziecko?

— No cóż? Dziecko podrzuć Niemcom i uciekaj...

Tak się stało. Szesnaście lat to za mało, żeby na przykład popełnić samobójstwo, i za dużo, żeby nie rozumieć całej klęski, którą się przeżyło. Izolda wróciła do kraju. Nie do swoich, bo przecież w dawnej rodzinnej wsi nie miała już nikogo bliskiego. Przywitała ją zła znajoma dawnych reemigrantów: obojętność.

Zaraz po tamtym powrocie zamknęła się za nią brama powiatowego więzienia. Miała odsiedzieć rok za kradzież. Tłumaczono sobie zapewne, że taki młody człowiek musi dostać dobrą nauczkę skoro kradnie mając silne ręce do pracy. Ale co było przedtem, dlaczego Izolda kradła?... To sobie można tłumaczyć wojną. Wojna zniszczyła ostatecznie wielu ludzi. W każdym razie to nie był jeszcze powód do pobłażliwości. Fakt pozostawał faktem. A w sądzie liczą się przede wszystkim fakty. Interwencja prawa była konieczna. Więcej: była sprawiedliwa. Bo i to trzeba dodać, że Izolda przez cały czas milczała o tamtych poprzednich przeżyciach. Wolała milczeć. Kto w takiej sytuacji mógł się zaopiekować Izoldą?

Ale po odbyciu kary dziewczyna mogła zacząć nareszcie normalne życie. Ostatni przewód sądowy, który dotyczył Izoldy, zawiera fakty świadczące o tym, że rok więziennego pobytu nie był pod wieloma względami stracony, że była to jakaś twarda szkoła.

Izolda zaczęła szukać pracy. Podczas ostatniego przewodu sądowego padały nazwy instytucji, przedsiębiorstw, do których nadchodziły jej podania o pracę. Jest takich podań kilka. Wszystkie z jednakowymi odpowiedziami. Kto bowiem w dusznym, powiatowym miasteczku chciałby się zająć losem dziewczyny, która podaje w ankiecie, że właśnie wraca z więzienia?... Puste łby najbardziej tępych, powiatowych urzędasów boją się podobnych spraw. Można przecież napisać, że „na podanie obywatelki odpowiadamy odmownie, ponieważ nie posiadamy wolnych etatów“. Kropka. Koniec. Pieczątka, podpis i sprawa załatwiona. Puste łby mają spokój.

— Ale co dalej?

Można oczywiście zawędrować ponownie za kratki. Jeżeli się nie pracuje — nie ma pieniędzy. Żeby żyć trzeba mieć pieniądze. Jeżeli się ich nie ma, można jeszcze kraść. Ale Izolda nie kradnie. Ktoś usłużny podrabia dokument stwierdzający, że w takim to i takim czasie dziewczyna pracowała w jakimś zakładzie i że zwolniła się na własną prośbę.

Tak pali się za sobą mosty. Tym razem do interwencji prawa nie doszło. Gdyby to nastąpiło, Izolda zawędrowałaby oczywiście za kratki. Wyrok byłby znowu słuszny. Fakt pozostaje faktem.

Tymczasem zamiast więzienia znalazła się praca. Izolda zaczęła pracować jako bufetowa w brudnej powiatowej knajpie. Można było myśleć o normalnym życiu... Opinie, jakie dotarły o niej z gastronomicznego przedsiębiorstwa, są zgodne w stwierdzeniu, że Izolda była dobrym pracownikiem, że zanim doszło do następnej ponurej katastrofy, wyróżniała się nawet sumiennością i że nic złego nie można było o niej powiedzieć.

Właśnie wtedy w brudnej knajpie zjawił się Tristan. Młody, przystojny chłopak. Nie miał nigdy pieniędzy, ale miał bardzo ładne oczy i pił podobno dlatego, że nie mógł nigdzie znaleźć „odpowiedniej“ pracy.

— Dlaczego?

Tristan, jak opowiada, lubił... pracować społecznie. Innymi słowy wolał nic nie robić. Najlepiej upływał mu czas na wszelkiego rodzaju kursach. Na kursach Tristan uczył się o wrogach i o tym, jak musimy budować socjalizm. Bardzo niewiele wziął sobie z tego do serca. Tristan ma przyjemny głos, ale kiedy powtarza staranne, gładkie frazesy, których nauczył się na kursach, przybiera pozę trybuna.

— ...Nam są, widzicie, potrzebni aktywiści. Tacy, którzy mogą rządzić...

Tristan śnił o rządzeniu. O takim rządzeniu, żeby mieć własny samochodzik, biurko i sekretarkę.

Tymczasem, rzecz jasna, nikt nie spieszył się z zaofiarowaniem „odpowiedniej“ posady. Więc Tristan przesiadywał w brudnej knajpie i narzekał na niesprawiedliwość losu. Czasem prosił Izoldę o jeden, jedyny kieliszeczek, bo mu jest bardzo ciężko...

Widocznie Izolda mogła być jeszcze dobrym człowiekiem. Była bardzo naiwna w swojej miłości. Wierzyła tej miłości bez reszty. Jakby ona miała być jakąś ostatnią deską ratunku... Ale to nie jest ważne dla przewodu sądowego.

Ważne jest co innego. Pewnego dnia, po zamknięciu lokalu Izolda zabrała się do liczenia pieniędzy. Tristan też bardzo lubił liczyć pieniądze. Okazało się, że zamiast 3 tysięcy w kasie znajdowało się 2.600 złotych. 400 złotych zniknęło. Po prostu zniknęło. Nikt nie mógł ich ukraść, a koło bufetu kręcił się tylko Tristan...

Ale Izolda naprawdę kochała „smutnego“ młodzieńca, który umiał tak pięknie opowiadać i był bardzo skrzywdzony przez los. Trzeba było koniecznie znaleźć 400 złotych. Nie mógł się o niczym dowiedzieć kasjer. Oprócz własnych — Izolda pożyczyła jeszcze 200 złotych i nazajutrz pieniądze odniosła do kasjera. Znowu zabrakło 1000 złotych. Kasjer liczył kilka razy, ale zawsze wychodziła ta sama suma — 2000 złotych... zamiast 3000.

Kto uwierzy w głupie bajki o tym, że pieniądze mogły „zniknąć“?... Na pewno nie kasjer...

Zmartwiony urzędnik kręcił głową. Ostatecznie powiedział Izoldzie, że sprawa nie zostanie oddana do prokuratora, tylko panienka dostanie wymówienie i położy się areszt na pensji...

— Ale kto mógł ukraść?

Tristan bardzo często mówił o tym, że jest opuszczony, że jeżeli nie zrozumie go Izolda — to w ogóle nie wie, co ze sobą zrobić... Tristan umiał mówić o miłości. Mówił, że będą mieli piękne mieszkanie z łazienką, że będą kupować kwiaty i że te kwiaty, on, Tristan będzie układał w wazonie, a wieczorem wazon będzie ustawiał koło łóżka Izoldy. Bo naprawdę bardzo kocha Izoldę. Wszystko to miało się stać wtedy, kiedy Tristan dostanie „odpowiednią“ posadę...

...Piękne mieszkanie, kwiaty, dobre życie. Wspaniałe marzenia. Dużo lepsze od szarej rzeczywistości za bufetem...

Nie! Tristan nie mógł ukraść pieniędzy...

Tym razem „smutny“ młodzieniec wyszedł podchmielony na spotkanie dziewczyny. On wpadł na trop złodzieja... Ukraść musiała koleżanka Izoldy. Ta, która pracuje na drugiej zmianie.

— No, bo kto inny?...

I tym razem był pewny siebie. I tym razem Izolda uwierzyła.

Wieczorem poszli do „podejrzanej“ koleżanki. Tristan nie owijał w bawełnę.

— Ukradła pani?

1000 złotych to nie bagatela. Druga bufetowa przyjęła ze śmiechem pytanie Tristana. Jak mogła zresztą ukraść, skoro nie było jej w tym czasie w zakładzie. Ale bardzo jej było żal Izoldy, chciałaby im jakoś pomóc. Nie bardzo wiedziała, jak...

Poprosiła, żeby zostali na kolacji. Zjedli kiełbasę, popili jakąś nalewką i późnym wieczorem gospodyni wyprowadzała na dwór swoich niespodziewanych gości.

Szli ciemnym korytarzem po drewnianych schodach. Najpierw Izolda, potem Tristan i bufetowa.

Już na progu Izolda poczuła silne pchnięcie w plecy. Wybiegła na podwórze. W tej chwili drzwi zamknęły się na zasuwkę. Usłyszała tylko jęk kobiety, która pozostała po tamtej stronie drzwi.

— Nie zabijaj!... Dziecko!...

Potem kilka tępych uderzeń i drzwi otwarły się napowrót.

— Szybko!

Tristan działał z zadziwiającą przytomnością. Otępiałej dziewczynie kazał zarzucić trupa jakimś workiem. Wrócił na górę. Potem zbiegł obładowany co cenniejszymi przedmiotami. Znalazły się także pieniądze, które zamordowana zbierała na czas porodu.

Tej samej nocy pośpiesznym pociągiem do Zakopanego jechało dwoje młodych ludzi.

Oboje przystojni, bardzo ładnie wyglądający obok siebie. Dziewczyna była blada, jakby zmęczona bardzo długą podróżą. Młodzian tłumaczył jej coś bez przerwy.

— Słuchaj! Zrobiłem to wszystko tylko dla ciebie, rozumiesz? Za twoją krzywdę... Teraz odpoczniemy w Zakopanem... Pewnie nie byłaś w górach? Zobaczysz, jak tam jest ładnie... Napiszę listy do kolegów z kursu z prośbą o opinię. Potem wyjedziemy gdzieś w szczecińskie, albo do Rzeszowa i wszystko będzie w porządku... Tylko nie wolno ci się zdradzić! Taka sama twoja wina — taki sam stryczek...

W Zakopanem Tristan paradował po wytwornych lokalach. Zaglądał na kolorowe dancingi, kilka razy pokazywał Izoldzie miasto z góry. Jechali wtedy kolejką i Izolda przyglądała się wspaniałej pa-

(Dalszy ciąg na str. 8)

Z wystawy Waldemara Cwenarskiego we Wrocławiu

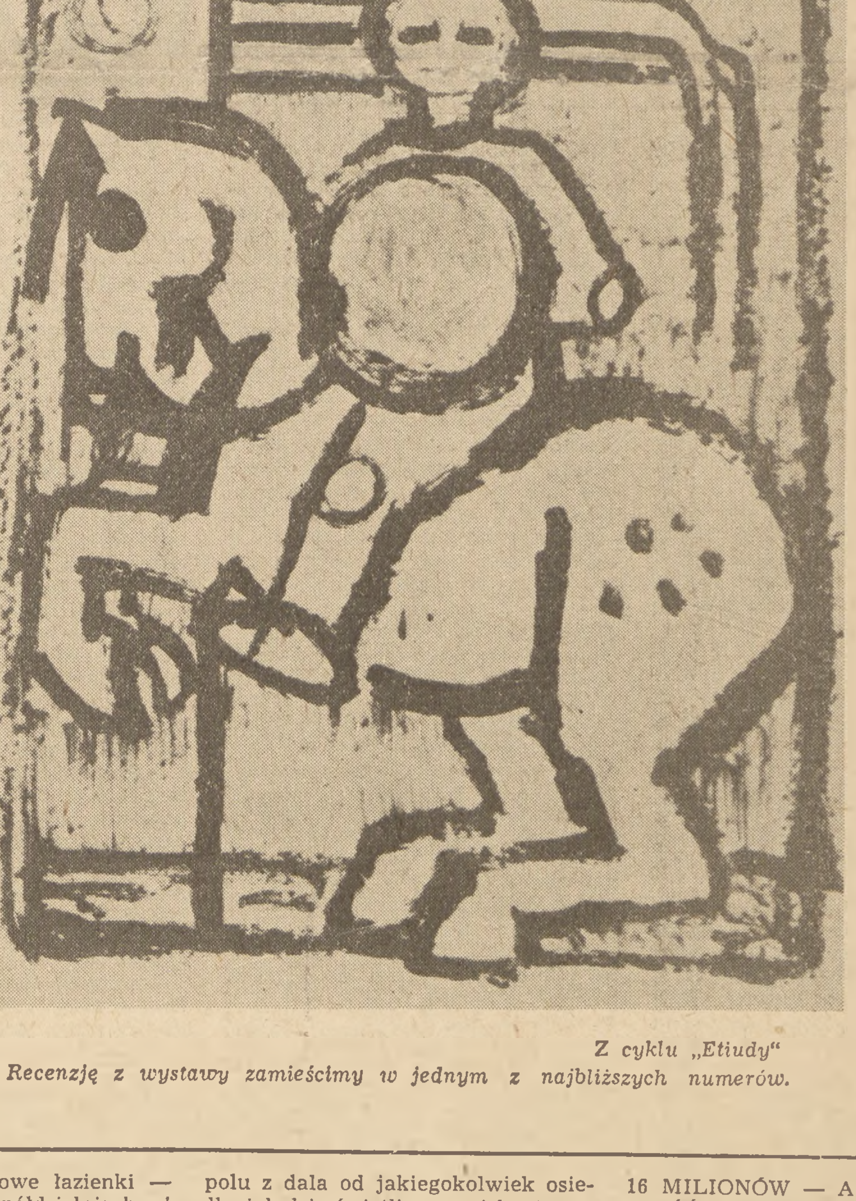

Z cyklu „Etiudy“

Recenzję z wystawy zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

ZBIGNIEW LASKOWSKI

NA WSI

W PAMIĘCI skupisko starych chałup, opłotki, zagrody. W gnojówce ryją świnie. Na drodze kurz. Tradycyjny obraz polskiej wsi. Ale jest przecież nowa wieś. W miastach planujemy wielkie dzielnice, stawiamy tysiące domów. Budujemy całe miasta od nowa. Mówimy — budujemy cały kraj. Jak ładnie musi być na tej nowej wsi. Wygodne domki, czyste obory — i sama wieś: zaplanowana z rozmachem, z domem kultury, szkołą. Może jeszcze nie wszystko w niej zbudowano, może jeszcze jest skromnie — ale na pewno architekci już pomyśleli o przyszłości, mają opracowane piękne projekty. Pamiętacie fotosy CAFu: „W nowych domach chłopi rozpoczynają nowe życie“? Pamiętacie kroniki PKF: „Z wizytą we wzorowej chlewni“?

Tak kształtowała się u niejednych świadomość wiejskich spraw.

LUDZIE

NA uboczu w polu samotne domki. Pustawo, szaro. Duży pokój — 22 m² — nieco mniejsza kuchnia i pokoik na piętrze. Tak mieszka pracownik PGR. Ale jak umeblować pokój na górze, jak przepchnąć cokolwiek przez 60-centymetrowe drzwi i wąskie schody? W kuchni — jak za ojców bywało — wiadro z wodą. Zlew nie jest przewidziany. Nieśmiałe pytanie o klozet i „może jest miejsce, w które w przyszłości będzie można wstawić wannę?“ Klozet — w podwórzu, w budynku gospodarczym. Wanna? Przeczący gest ręki. Dom był projektowany pięć lat temu, A.D. 1950, w połowie XX wieku, budowany w 1955. — Czy można było wtedy przypuszczać, że takie urządzenia będą kiedykolwiek potrzebne w mieszkaniu **chłopa?**

W Walewicach o pani Walewskiej pamięć już dawno zaginęła. W starym pałacu siedzą przy biurkach urzędnicy. W pobliżu nowe domy. Jest już w nich nawet zlew, ba — nawet ostatnia zdobycz naszej architektury mieszkaniowej: wietrzniki w kilku oknach. Ale do pokoju na górze po staremu żadnego mebla nie zataskasz bez rozłożenia na części pierwsze.

Reporter nauczony doświadczeniem już nie zadaje nierozsądnych pytań. Idzie od razu do obory. Jest gnój i krowy w nim, są różne komórki — ale tej jednej, wymarzonej nie ma. Jak załatwiają te sprawy?

— Biegamy do brzezinki.

— Dokąd? — Zaskoczenie nie pozwala zrozumieć.

— Przez drogę, do brzezinki. Jeszcze w lecie, gdy są liście, to ujdzie. Ale teraz, jak drzewka gołe to wstyd. Ustępu u nas nie ma. Od roku go budują, ale jeszcze nie wybudowali.

O pani Walewskiej pamięć zaginęła. Ale żyją ówczesne zwyczaje. Z nowego domu po staremu biega chłop za stodołę.

Za stodołę nie dotarła kamera fotokronikarza. To są sprawy „brzydkie“. I czy ważne? Budzą się refleksje o konieczności powtarzania truizmów. Że środowisko kształtuje mieszkańca. Że jeśli chłop ma inaczej myśleć i podnieść swój ogólny poziom, to razem z nowym czystym domem musi być wybudowany nowy, czysty wychodek. O kulturze nie świadczą salony. Refleksje i marzenia: jakby to to było przyjemnie, gdyby nasi filmowcy kręcąc film obyczajowy z życia wsi musieli skomponować jako nieodzowny — tak, jak to jest w filmach japońskich — moment mycia się i kąpieli. Równie nierealne jak i dobry film wiejski? Nie wiem. Nie widzę powodów dlaczego — jeżeli nie stać nas jeszcze na domowe łazienki — nie można by w spółdzielniach i wsiach nie budować wspólnych (czynnych!) łaźni.

Inżynier rzuca ziarnem optymizmu. Tłumaczy, że w przyszłości budowane domy będą miały już miejsce na „00“ i łazienkę, będą nawet osobne wejścia do pokoju i kuchni. Inżynier jedzie z nami z ramienia czynników. Jego deklaracjom dodaje powagi delegacja służbowa opatrzona urzędowym numerem kolejnym złożonym z 20 (dwudziestu) znaków i poparta autorytetem trzech czy czterech ministerstw, które zezwoliły na naszą podróż. Rzecz o takiej wadze państwowej jak oficjalna wycieczka na wieś zainteresowanego architekturą dziennikarza musi być przecież odpowiednio uzgodniona.

Reporter słucha wyliczeń, ile instytucji „na szczeblu resortu“ zajmuje się sprawami życia na wsi i zastanawia się, dlaczego musi oglądać spółdzielcze domki, w których pokoje zaopatrzone w dwumetrowe okna stoją zimą puste (ile trzeba węgla, aby ogrzać taki pokój na wydmuchu?); POM-y zbudowane w polu z dala od jakiegokolwiek osiedla i ludzi; świetlice w nich otoczone płotem i bronione przez strażnika pytającego o przepustkę; dlaczego istnieją budynki tak zlokalizowane, że z ich piwnic trzeba było wypompowywać wodę; kuchnie, w których gospodyni, by włożyć chleb do pieca, musi przedtem ułamać trzonek od łopaty, która nie mieści się między ścianami; dlaczego zabudowania spółdzielcze budowane są bez ładu i składu...

W oborze wejście do schowka na paszę zasłonięte jest brudną płachtą. W środku mieszkają ludzie. „Wam się zdaje, że tylko w miastach brak mieszkań. Nie wytykacie nosa za rogatki. Wieś jest też przeludniona. Buduje się mało, za mało“.

Wizja pięknej wsi odsuwa się coraz dalej. Jak jest naprawdę, gdzie tkwi problem? To nie o pięknych, dobrze urządzonych domach trzeba mówić, ale o tym, żeby one w ogóle były?

W domu reporter sięgnie do statystyk i odkryje jeszcze jedną z oczywistych choć nieznanych prawd: spośród **27,5** milionów — **57%**, 16 MILIONÓW — A WIĘC WIĘKSZOŚĆ LUDNOŚCI POLSKI MIESZKA NA WSI.

Ta liczba określa wielkość zagadnienia.

ZWIERZĘTA

CZWORONOŻNI mieszkańcy wsi nie umieją mówić. Odkrywaliśmy więc sami ich sprawy mieszkaniowe, cały skomplikowany splot warunków, który określa ich życie.

Powiecie, że to są rzeczy proste. Czy architekt rzeczywiście miałby się specjalnie zajmować zwierzętami? Architektura — i krowa. Śmieszne zestawienie. Wystarczy, że obora jest.

Chcemy więcej jeść — masła, mięsa, **jaj.** „Powiększyć produkcję hodowlaną“ wołają transparenty. Kojarzy nam się tylekroć wybijana w referatach sprawa paszy, kwintali siana, wydajności z ha, melioracji łąk — no i oczywiście kukurydza, kukurydza, kukurydza. Tuczyć, tuczyć — jak najszybciej, jak najracjonalniej. Trzeba dać zwierzakom dobrze jeść, żebyśmy je sami

(Dokończenie na str. 7)

DM 1191 05

ALEKSANDER ROGALSKI

KRYTYKA ZDROWEGO ROZSĄDKU

1

CZYTAJĄC „*Kalejdoskop literacki*“ Zofii Starowieyskiej - Morstinowej*) jest się zmuszonym niemal co chwila robić na margiwesie takie uwagi: „Jakie to słuszne! Jak trafnie spotrzeżone! Jak przekonywające! Jak oczywiste!“ Zapiskom tym towarzyszy westchnienie pełne melancholii: „Że ja też o tym sam nie pomyślałem! Że też tego sam nie zauważyłem!“.

A przecież to nie są żadne finezje, to nie są odmiewające race wyrafinowanego intelektu — autorka zdaje się nie mieć w tej mierze najmniejszych nawet pretensji! W czymże się więc mieści przyczyna tylu jej sukcesów, tylu pozytywnych wyników jej analiz i dociekań krytyczno - literackich? Odpowiedź narzuca się jedna: chyba w tym, że autorka pozwoliła się w pełni i swobodnie kierować zdrowym rozsądkiem, sprzymierzonym (lub utożsamionym) z jej dużym doświadczeniem literackim i życiowym. I nie wiadomo, czy dlatego, że ta instytucja: zdrowy rozsądek działała u nas w ostatnich latach nazbyt opieszale i rzadko, czy też że w ogóle ją w publicystyce i krytyce wyprzęgano z użycia zastępując ją mechanizmem, który produkował myśli prefabrykowane i slogany, bądź też neoscholastyczne esy floresy, w których myśl grzęzła jak w bagiennym trzęsawisku — dość, że zdrowy rozsądek stosowany przez Starowieyską-Morstinową w „*Kalejdoskopie literackim*“ daje rezultaty, mające wszelkie znamiona prawdziwych odkryć. Wydaje mi się, że ten moment nadaje książce Starowieyskiej - Morstinowej specyficzny rys.

Uderza najpierw mnóstwo rozsianych po jej esejach spostrzeżeń, o których trzeba powiedzieć, że jeśli nie są całkowicie nowe, to zdążyło się już o nich zapomnieć: w każdym razie działają odświeżająco. Należy do nich uwaga, że choć w dziele sztuki „wpływa bogactwo całego świata“, jednak „rodzi się ono w jednolitej i z jednolitej osobowości autora“ (97). Należy do nich zdanie, że niezmiernie „trudno jest w jakimś dziele powiedzieć z całą pewnością, co jest wadą a co zaletą“ i że „pewne wady są nierozerwalnie złączone z pewnymi zaletami“ (123). Należy również myśl następująca: „Dzieło sztuki jest zawsze tym, czym jest — i także czymś więcej. Zawsze ma jakieś drugie dno, jakąś drugą, swoistą wymowę. Mówi, co mówi — a także co innego“ (132).

Jak przyjemnie czyta się zdania takie jak te oto: „W sztuce... można odkrywać Amerykę po raz drugi, nawet setny. Siłą i atrakcyjnością książki jest wzruszający moment odkrycia. Moment twórczy... Można mówić, co już było sto razy mówione... To wszystko nie ma znaczenia. Chodzi tylko o to, by mówić to, co się widzi, co się przeżyło lub przeżywa, w co się wierzy, co się za prawdę własną przyjęło“ (250—251). Albo stwierdzenie, że „wielkim zadaniem epików“ jest „umiejętność połączenia prawdy oczywistej, realnej, konkretnej w jedynie przekonującej perspektywie sztuki, a więc w jakimś zagęszczeniu, w umitologizowanej fikcji“ (256). Czy wreszcie refleksje, że „nie każda powieść, aby być wartościowa, musi się kwestią społeczną zajmować. Może doskonale zajmować się czym innym“ (287).

2

LECZ prawdziwe tryumfy — zdrowy rozsądek Starowieyskiej-Morstinowej odnosi — w analizach i ocenach pisarzy, w rozbiorach ich dzieł. Nim jednak zajmę się nieco bliżej tym, co stanowi najważniejszą treść „*Kalejdoskopu literackiego*“, pozwolę sobie na jedną dygresję.

Otóż Albert Thibaudet stosując terminologię wojskową do krytyki literackiej rozróżniał w niej trzy rodzaje broni: piechotę, kawalerię i lotnictwo. Było to jednak przed drugą wojną światową A wojna ta sprawiła, że kawalerię zdołała zwycięsko wyprzeć z placu broń zmotoryzowana. Do jakiej więc broni należałoby zaliczyć Starowieyską - Morstinową? Wydaje się, że chyba tylko do piechoty. Nie ma ona zwyczaju szarżować. Nie odpowiadają jej śmiałe loty w przestrzeń i w czas. Jej dobrotliwej naturze obce jest wszelkie miażdżenie fortyfikacji. Starowieyska - Morstinowa lubi stąpać mocną nogą po ziemi, jest solidna i — mimo wszelkich modernizacji sztuki wojskowej czy krytyczno - literackiej — niezawodna jak właśnie piechota. Znać na niej szczególnie wyszkolenie w infanteryjnych oddziałach zwiadowczych, zwanych przez Niemców „*Spachtruppen*“. Ileż wspaniałych rzeczy wyśledzić potrafi taki piechur, jakie mnóstwo faktów i szczegółów zauważyć nieuchwytnych dla oka przeciętnego „cywila“ — o tym świadczą najlepiej analizy twórczości Dąbrowskiej, Malewskiej i Dobraczyńskiego, a zwłaszcza wyniki jej rekonesansu po pu zczy Gołubiewowskiego epsu. Mamy tam naprawdę przykłady owej „dobrej roboty literackiej“, której zasady sformułował André Thérive w tych słowach: „zdrowy sens w ideach, porządek w myślach i zmysł ekonomii w środkach“.

Dowodów na to można by czerpać całymi garściami. I tak, by zacząć od Gołubiewa — niezwykle trafne wydaje się kojarzenie jego wizji epickiej z konstrukcją gotyckiej katedry i upatrywanie w ciekawości oraz zachwycie wobec zjawisk życia zasadniczej postawy autora „*Bolesława Chrobrego*“, a w bardzo bliskim i ciepłym jego stosunku „do prostych, codziennych spraw człowieka“ — rysu nader znamiennego dla tego dzieła. Interesujące jest też, gdy autorka ujawnia w powieści Gołubiewa szereg nie wolnych od konwencjonalności i schematyzmu „chwytów“ formalnych czy nawet rekwizytów, zaznaczając jednakże, że w dziele tym działają one dobroczynnie, odzyskują tam całą swoją świeżość. Jakiejże zaś przenikliwości, jak głębokiego i długiego zżycia się z dziełem Gołubiewa potrzeba było, by wytropić w tym eposie wszelkie co ważniejsze pęknięcia, niejasności, niedociągnięcia czy niekonsekwencje, które autorka nazywa „dziurami“, „szparkami“, „puszczonymi oczkami“, „rozpieraniem się łokciami“ pewnych wątków, niewygładzeniem kantów owej mozaiki, do której autorka przyrównuje technikę konstrukcyjną „*Bolesława Chrobrego*“!

Albo weźmy esej o Parandowskim. Zdawałoby się, że obcując z dziełem Parandowskiego, tak klasycznie nieskazitelnym, obcujemy z dziełem doskonałym, godnym zaopatrzenia marką: „*non plus ultra*“. I Starowieyska - Morstinowa pisze o tym dziele z niekłamanym zachwytem, podkreśla jego wagę i wyjątkowośc w naszej literaturze, raduje się „przedziwną, krystaliczną przejrzystością stylu“ Parandowskiego. Lecz któż tak potrafił na samym dnie naszego zachwytu dostrzec niedosyt, a może i leciutką irytację z powodu tej doskonałości, klasyczności i olimpijskiego spokoju autora „*Dysku olimpijskiego*“ — jak właśnie Starowieyska-Morstinowa! I któż tak potrafi wskazać, na czym ów niedosyt czy owa irytacja polega. Autorka uczyniła to, gdy zajęła się bliżej rozpatrywaniem poglądów Parandowskiego na twórczość literacką, wyrażonych w sposób może najpełniejszy w „*Alchemii słowa*“. I nie można jej odmówić słuszności, gdy pisze, iż czytając tę książkę „mamy wrażenie, ze dowiedzieliśmy się o twórczości literackiej wszystkiego“, lecz „czujemy, że nie dowiedzieliśmy się o niej rzeczy najważniejszej i jedynie ważnej“: „Mamy wrażenie, że przebywaliśmy stale na peryferiach jakiejś olbrzymiej sprawy, jakiejś najgłębszej artystycznej — może nawet ludzkiej — tajemnicy“ (184—185). Nie podobna się też nie zgodzić z tą jej wielką, syntetyczną pochwałą dzieła Parandowskiego, z którą z takim wdziękiem zespoliła się krytyka tego dzieła: „...Czytane i odczytywane zawsze cieszy i zachwyca. Zawsze koi i uspokaja. Bo nie spotykamy w tej wielkiej rzece niespodziewanych wirów. Nigdzie nie porywa nas jej nagły a niebezpieczny nurt. Nigdzie na kartach tych książek nie spotykamy „szamotania się myśli z krnąbrnym słowem“, nie spotkamy tych myśli i uczuć, które muszą być „wypowiedziane choćby na zgliszczach składni“. „Nigdy nie załamała się Parandowskiemu składnia pod trwogą i bólem, pod niepokojem i szarpaniną. Nigdy nie strzaskały jej rusztowań żadne burze“ (190).

3

CHCIAŁOBY się tak cytować esej po eseju, by chociaż w bardzo zwięzły sposób ukazać wnikliwość, trafność, odkrywczość analitycznej pracy Starowieyskiej - Morstinowej (idącą w parze z jej niepospolitym zmysłem syntezy), czy wytrawność jej sądu i wyborność jej smaku. Ale nie sposób to uczynić. Można to tylko tutaj zaawizować.

Natomiast zapytajmy się o jedną zasadniczą rzecz: co stanowi archimedesowy punkt zabiegów krytycznych autorki „*Kalejdoskopu literackiego*“, jej „bazę operacyjną“? Inaczej mówiąc: co znamionuje jej postawę wobec dzieł literackich, a także wobec świata i tzw. najwyższych wartości? Nie trudno to wydedukować z jej analiz. Zresztą autorka wypowiada się na ten temat bezpośrednio we wstępnym eseju, w którym zajmuje się zwięzłym określeniem swego stanowiska estetycznego i filozoficznego.

Stanowisko to obrazowo nazywa „postawą Bogumiła“ (tego z „*Nocy i dni*“ Marii Dąbrowskiej), przy czym pisze: „...tak jak Bogumił i Agnieszka wierzę, że ku dobremu toczy się życie i — jak oni — chcę „toczyć się z nim razem“, chcę do jego budowania ręki przykładać“ (10). Jest to teoriopoznawczy realizm i ontologiczny optymizm. W swoim zaś stosunku do dzieła literackiego główną rolę wyznacza takim czynnikom jak ciekawość poznawcza, opis, sympatia, podziw, pochwała, tendencja dydaktyczna.

Postawa ta jest dostatecznie szeroka, by umożliwiała objęcie pisarzy tak rożnorodnych i odrębnych jak Maria Dąbrowska i Sienkiewicz, jak Adolf Rudnicki i Weyssenhoff. Lecz choć w każdym eseju przejawiła się równa rzetelność wysiłków i dociekań, nie ulega przecież wątpliwości, że największe osobiste „zaangażowanie się“ autorki znalazło wyraz w eseju o Dąbrowskiej, o Gołubiewie i o Malewskiej: w pracach tych znać najwyższą temperaturę owej sympatii i pochwały tak charakterystycznej dla jej stosunku do świata literatury. Te same też elementy wysuwa Starowieyska - Morstinowa na czoło w twórczości wymienionych trojga pisarzy. O „*Nocach i dniach*“ pisze więc, że „nurt ideowy tego wielkiego dzieła“ mieści się w „szacunku i podziwie do wszystkiego, co jest“, a równocześnie w pragnieniu stworzenia „lepszego świata“ (57). O Malewskiej czytamy, że „zachwyt jest jakąś bardzo zasadniczą cechą wszystkiego, co napisała“ (79). Wreszcie co się tyczy „*Bolesława Chrobrego*“, to Starowieyskiej - Morstinowej, wydaje się, że „jakąś zasadniczą postawą“ autora tego dzieła jest „pełne zachwytu zadziwienie wobec zjawisk życia, wobec jego dziwności i cudu“. (129).

Starowieyska - Morstinowa akcentuje uniwersalizm swej postawy: znamionuje ją troska o uchwycenie wszelkich prawdziwych wartości. A jednak musimy zaznaczyć, że ten uniwersalizm nie z wszystkimi wybitnymi zjawiskami literackimi byłby w zgodzie, nie wszystkim wielkim pisarzom zapewniłby równie serdeczną gościnę u siebie. Pomijając już to, że każda indywidualność krytycka nawet niezależnie od ożywiających ją w takim czy innym stopniu intencji obiektywizmu — na podstawie wywodów i konkretnych prac Starowieyskiej - Morstinowej wolno nam przypuszczać, że poza zasięgiem jej postawy znaleźliby się tacy pisarze jak np. Szekspir (zwłaszcza ten z tragedii i Sonetów), jak Kleist, Stendhal, Baudelaire, Flaubert, Zola, Proust, Tołstoj (jako autor „*Anny Kareniny*“ i *Sonaty Kreutzerowskiej*“), nie mówiąc już zgoła o takim pisarzu jak Dostojewski. Co prawda, pisarze, w tym i krytycy, nie zawsze bywają w swoim postępowaniu, w swoich gustach i upodobaniach tak konsekwentni jak w swoich samookreśleniach teoretycznych. Jest więc prawdopodobne, że Starowieyska - Morstinowa okazałaby się — w szerzej rozwiniętej praktyce — nauczycielką literatury mniej jednostronną, niżbyśmy się mogli tego obawiać po przeczytaniu jej esejów w „*Kalejdoskopie*“.

4

MÓWILIŚMY o podstawie teoretycznej ocen krytycznych, zawartych w książce Starowieyskiej-Morstinowej. Teraz jednak musimy zrobić krok dalej i zaznaczyć, że autorka precyzuje swą postawę jako postawę katolicką. Nie tai ona, że ocenia zawartość ideową rozpatrywanych przez siebie dzieł z punktu widzenia wartości katolickich, który to jednak punkt widzenia wydaje się jej tak szeroki, iż zapewnia jej „wymierzenie sprawiedliwości“ również dziełom, opartym na zgoła innych założeniach światopoglądowych. I nie potrzeba przeczytać eseju o Dąbrowskiej, w którym autorka podkreśla zgodność, a co najmniej zbieżność „*Nocy i dni*“ z pojęciami katolickimi i dopatruje się głębokiego (choć może nie uświadomionego) związku postawy ideowej wyrażonej w tym dziele z „postawą filozoficzną katolicyzmu“, a mianowicie z realizmem tomistycznym, by stwierdzić, że osobowości jej najbardziej odpowiadać musi właśnie tomistyczna koncepcja bytu, bo tak dobrze ona harmonizuje z jej postawą zachwytu, pochwały i optymizmu. Wypowiadając się zaś na temat tzw. literatury katolickiej Starowieyska-Morstinowa przeciwstawia się moralizatorstwu, wtłaczaniu tej literatury w „jakieś zakrystyjno - liturgiczne ramy“, „afiszowaniu“ przez pisarzy swych przekonań religijnych. Podkreśla za to, że pisarz katolicki powinien sprowadzić swoją rolę do „obejmowania poznaniem i miłością wszystkiego, co stworzone“, do uwypuklania w doktrynie katolickiej raczej wolności, aniżeli przepisów, radości aniżeli trwogi, że powinien on opisywać raczej „potęgę życia i piękna świata“, aniżeli otchłanie zła, grzechu i brzydoty (esej „O wolności pisarza katolickiego“).

Zdawałoby się, że nic słuszniejszego, nic bardziej sprzyjającego poznaniu literatury, nic bardziej „uniwersalistycznego“ nad to, co głosi Starowieyska - Morstinowa. Po chwili jednak zastanowienia się budzą się wątpliwości. A więc najpierw odnajdywanie wartości katolickich czy refleksów tych wartości u pisarzy, ukształtowanych w zupełnie innym klimacie światopoglądowym i wyrażającym odmienną filozofię, odnajdywanie oparte na owym uniwersalizmie katolickim, sprawia niejednokrotnie wrażenie, jakby obdarzało się biletami wstępu do raju ludzi, którzy nie pragną zgoła tego szczęścia, albo też szukają go, ale na własną rękę. Następnie: słuszny jest postulat nie popadania w jakąś ciasnotę doktrynalną czy moralizatorską, ale jednocześnie słuszne wydaje się dążenie do precyzowania pojęć w rodzaju literatury czy powieści „katolickiej“ i to szczególnie dzisiaj, gdy ma się już do zanotowania tak wiele dzieł pisarzy katolickich, które przy całej swej różnorodności wyróżniają się jednak od pozostałego piśmiennictwa bardzo znamiennymi, wspólnymi rysami, dla charakterystyki zaś tych utworów nie wystarczą pojęcia w rodzaju „optymizm“, „realizm“ czy „afirmacja bytu“ jako zbyt ogólnikowe.

A wreszcie zarzut wręcz odwrotny: zarzut n i e d o s t a t e c z n e g o uniwersalizmu. Wydaje mi się, że katolicyzm (w sensie postawy światopoglądowej) jest czymś znacznie szerszym nawet od tak uniwersalistycznej filozofii jak tomistyczna, że w katolicyzmie mieści się wiele postaw i tradycji, że nie wszystkie nader ważne elementy bytu — zwłaszcza dzisiaj — uchwyci postawa tomistyczna, że jej predominancja w literaturze, z biegiem czasu doprowadziłaby do zubożenia i do zmonotonizowania twórczości katolickiej. Rozmaicie oceniając (nie tylko z punktu widzenia artystycznego ale i katolickiego) takich pisarzy jak Bloy, Mauriac, Bernanos, Julian Green i Graham Greene, czy jak egzystencjalista katolicki Gabriel Marcel, a nawet jak Gertruda von Le Fort (z jej tragiczną wizją bytu doczesnego) i jak Undset (z jej dość posępną koncepcją człowieka) — trudno jednak nie przyznać im czołowej roli w literaturze katolickiej, a co więcej: trudno nie przyżnać im genealogii katolickiej, nie uznać ich za wyrazicieli pewnych integralnie chrześcijańskich czy katolickich tradycji duchowych, choć niemal wszyscy wymienieni pisarze są dość obcy postawie zachwytu, pochwały, radości czy afirmacji rzeczywistości.

Jak dalece zaś autorka „*Kalejdoskopu literackiego*“ daje się powodować analizowaną tu postawą, o tym świadczą końcowe zdania, w których czytamy: „...bo dziś rozumiemy coraz wyraźniej, że na owej okrzyczanej dla swej niewygody i stromości ścieżce jest więcej radości — więcej przede wszystkim prawdziwej wolności — niż na pozornie tak szerokich, a w istocie w tak bardzo wąskie koleiny wyżłobionych drogach, po których ludzkość ciągle mamiona ułudą urożowanego grzechu kroczyła z takim trudem i w takiej niewoli tyle już wieków i tysiącleci“ (373). Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że słowa te nazbyt zdają mi się tchnąć idyllą. To są jednak trochę za łatwe perspektywy: rzeczywistość grzechu posiada jednak znacznie głębsze wymiary a duch ludzi jest znacznie bardziej zawiły.

W polemiczny nastrój wprawiają też inne opinie Starowieyskiej-Morstinowej. Np. gdy nazywa świat Weyssenhoffa — cytując zresztą słowa samego pisarza — “światem pachnącym grzechem“, gdy tymczasem postaci Weyssenhoffa znamionuje właśnie kompletny brak poczucia „grzechu“: świadomość grzechu absolutnie nie torturuje ich sumień, w przeciwieństwie do bohaterów Mauriaca, nie mąci im doznań sensualistycznych. Wreszcie gdy autorka wylicza przyczyny niewielkiego znaczenia literatury polskiej za granicą w przeszłości, chciałoby się dorzucić jeszcze jedną, ale jak się zdaje chyba najważniejszą, a mianowicie — całkowicie peryferyjną rolę kulturotwórczą i dziejową Polski w Europie, sprawiającą, że to, co w wypadku np. literatury rosyjskiej stało się dodatkowym czynnikiem atrakcyjności w krajach zachodnich — wybitna jej „narodowość“ — to w naszym wypadku przyczyniło się tylko do ostatecznego jej pogrzebania w oczach Zachodu.

Ale nie chcę już dalej zapuszczać się w szczegóły. Nie mogę jednak nie podkreślić, że książka Zofii Starowieyskiej - Morstinowej, pisana językiem jasnym, często po sarmacku dobitnym i dosadnym, wolnym od ornamentyki — dowód, że autorka nie ma do ukrycia poważniejszego defektu — nie budziłaby we mnie przytoczonych wyżej przykładowo zastrzeżeń czy wątpliwości, gdyby nie posiadała ona jednej, dość rzadkiej wśród naszych książek zalety: czyta się ją d ł u g o i p o w o l i.

*) Zofia Starowieyska - Morstinowa, „Kalejdoskop literacki“, Warszawa, „Pax“ 1955.

Warszawa — dwa

NO, bądźmy łagodni — trzy z minusem. W każdym razie słabo. O co chodzi? O piętę achillesową Polskiego Radia — informację zagraniczną.

Felieton ten jest tylko felietonem. Nie miałem czasu, a trochę i nerwów, na studiowanie programu informacji naszego radia w sposób systematyczny. Ale pewnego dnia odwiedził mnie znajomy w chwili, gdy gorączkowo wyłapywałem słabnący głos angielskiego komunikatu BBC i — widząc moje wysiłki, żywo przypominające scenę z Sempolińskim w „Skarbie“ — zapytał nieco ironicznie: „Czy to nie snobizm, mój drogi. Rozumiem, że chcesz jako dziennikarz znać komentarze tamtej strony. Ale wiadomości? Możesz je bez trudu usłyszeć z Warszawy“. Może ma rację — pomyślałem, i od tej pory co jakiś czas konfrontowałem komunikaty Warszawy i innych stacji. Oto garść spostrzeżeń, luźnych, ale dostatecznych, aby przekonać się, że to jednak nie był snobizm.

Wydaje mi się — jako radiowemu laikowi — że cztery czynniki określają wartość informacji radiowej: szybkość, forma, układ i dobór wiadomości. I wydaje mi się — jako dorywczemu słuchaczowi z kolei — że na warszawskiej antenie każdy punkt budzi poważne zastrzeżenia.

Szybkość! Jest? Jest. W 90 proc. komunikaty radiowe powtarzają w ciągu całego dnia własny serwis z godziny 5 rano i wiadomości prasy porannej, która przecież powinna być z natury rzeczy o kilkanaście godzin w tyle. Rozumiem, że wiadomości z Francji Paryż poda wcześniej od Warszawy. Ale to prawo pierwokupu informacji z własnego kraju powinno chyba działać obustronnie. Tymczasem... czy wiecie, że depeszę o tragicznej w skutkach lawinie na Hali Goryczkowej amerykańska radiostacja wojskowa w Tangerze (Afryka Północna) podała o dwie godziny wcześniej, niż pierwszy komunikat radia Warszawa? I to z takimi szczegółami, jak liczba ofiar i z podaniem nazwiska Zofii Stopkówny, jako słynnej polskiej narciarki. Czyżby wiadomości z Zakopanego uzyskiwano via American Forces Network, kontynuując tradycje pierwszych miesięcy powojennych, gdy sprawozdania z Norymbergi kablowano przez Genewę — Nowy York — Moskwę?

Jeszcze gorzej jest z audycją, którą z dużym poczuciem humoru nazwano „Muzyka i aktualności“. Aktualności — owszem, ale z myszką. Ta rzeczywiście dowcipna audycja (przymiotnik użyty bez ironii) operuje z zasady na prasie i wydarzeniach zagranicznych sprzed paru tygodni. Swoisty rekord pobiła ona w Wielki Czwartek czy Piątek, dając dobrze zresztą zmontowany obrazek o fraternizacji pilotów hitlerowskiego Luftwaffe i RAF'u na podstawie „News-week“ z 5 marca i w 11 dni po wykorzystaniu tego materiału przez „Słowo Powszechne“, pismo, które drukuje swą wkładkę niedzielną na kilka dni naprzód.

Przejdźmy jednak do formy, a raczej formalizmu naszych komunikatów. Sądzę, że każdy słuchacz, interesujący się cokolwiek polityką, czekał rok temu z napięciem na wiadomość o treści Układu Warszawskiego. Ale nie wiem, ilu było mężnych, którzy bez zgrzytania zębów wysłuchali szesnaście razy powtórzoną wolnym głosem przez speakera wstępną formułkę traktatową: „Układ zawarty między Ludową Republiką Bułgarii, Rumuńską Republiką Ludową...“ itd., aż wymienił wszystkie państwa - sygnatariuszy, aby zacząć da capo, że: „Prezydium Zgromadzenia Ludowego Bułgarii, Prezydium Wielkiego Zgromadzenia Ludowego Rumunii... postanowiły zawrzeć niniejszy układ i wyznaczyły jako swych pełnomocników — Prezydium Zgromadzenia Ludowego Bułgarii Prezesa Rady Ministrów pana XY, Prezydium Rumuńskiej...“ i znowu cierpliwie do końca. Czyż doprawdy nie można było pozostawić pełnego tekstu prasie, a w dzienniku powiedzieć po ludzku, że te a te kraje (w ich nazwach potocznych) zawarły układ, którego najistotniejsze postanowienia są takie a takie? Przykłady podobne można by zbierać prawie codziennie. Zmysłu syntezy, daru dobrego streszczania, stanowczo brak w naszym radiu. A z tym wiąże się sprawa pokrewna. Ktoś mądry wymyślił kilkanaście lat temu na Zachodzie, że człowiek może albo spóźnić się na komunikat, albo nie mieć czasu dosłuchać go do końca. I wyciągnął z tego genialny wniosek, że wiadomości należy zaczynać i kończyć krótkimi, jednozdaniowymi „headlines“ — nagłówkami, które przynajmniej zorientują słuchacza, co w trawie piszczy. Ja rozumiem, że redaktorzy z Radia, znając punktualność Polaków, świetne warunki komunikacji miejskiej i powszechny u nas nadmiar czasu, nie przewidują takich ewentualności. Ale może jednak warto sięgnąć do starych wzorów, z których przecież wolno już czerpać bez wstydu?

Kolej na trzeci element dobrej informacji: na układ wiadomości. Pamiętacie, jak w pierwszych latach powojennych co drugi osobowy samochód w Warszawie był marki „Fleetmaster“? Wynikało to z dowcipnego systemu „umów wiązanych“ stosowanego przez USA: chcesz mieć ciężarówkę? Sprzedamy ci ją, ale obok tego musisz kupić trzy Fleetmastery. Ten sprytny sposób przejęło Polskie Radio w komunikatach: chcesz wiedzieć, co się dzieje na świecie? Dobrze, ale wpierw musisz posłuchać informacji o nowym systemie sprzedaży biletów miesięcznych, wprowadzonym przez gdański PKS (dn. 9.IV. godz. 20), chociaż domyślamy się, że cię to może mało obchodzić. Niech czytelnik nie myśli, że występuję tu za sztywnym ustalaniem porządku: najpierw wiadomości zagraniczne, potem krajowe. Uważam to za podobny nonsens, jak i porządek odwrotny. Uważam za nonsens w ogóle sztywny podział tego rodzaju. Zdaniem moim, jedynym kryterium pierwszeństwa powinna być waga wiadomości, a nie jej lokalizacja geograficzna. Mamy chyba dostatecznie wiele poczucia godności narodowej, aby wiedzieć, że ważne wydarzenie krajowe jest zarazem wydarzeniem międzynarodowym. Ale miejmy też na tyle poczucia rozsądku, żeby wiadomość o wykonaniu planu przez spółdzielnię pracy „Stopa“ dawać p o depeszy z obrad Komisji Rozbrojeniowej. Krótko mówiąc, proponuję: 10 minut wiadomości pierwszorzędnych, interesujących każdego i 5 minut drobniejszych wiadomości z kraju.

Ostatni czynnik: dobór wiadomości. W niedzielę, 8-go kwietnia poświęciłem się, aby w ciągu trzech godzin między 13 i 16 — wysłuchać komunikatów Londynu, Paryża i wreszcie Warszawy. Być może, dzień był nieytypowo fatalny Ale też i wyniki przerażające. Według radia Warszawa (godz. 16) nie było wyborów na Cejlonie, które przyniosły zwycięstwo Frontowi Ludowemu; nie było wyjątkowo ostrych i — być może — brzemiennych w skutki polityczne walk na granicy egipsko-izraelskiej; nie było skutecznej i na szeroką skalę przeprowadzonej operacji powstańców algerskich; nie było wreszcie zebrania plenum KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej, krytykującej premiera Czerwenkowa. Czy brak czasu nie pozwolił Warszawie na umieszczenie depesz, podawanych w tym czasie przez wszystkie radiostacje? Chyba nie, bo znalazło się półtorej minuty na podanie kurtuazyjnej depeszy prezydenta Finlandii do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, którą można było ostatecznie darować prasie. Znalazło się też drugie półtorej minuty na informację o nowym przewodniku PTTK po Wrocławiu. Tutaj zastrzegam się z góry przed ewentualnymi zarzutami: nie chodzi mi o kopiowanie komunikatów zachodnich. I my, i oni mamy własne sprawy i własne kryteria informacji. Ale nikt nie zaprzeczy, że jest jakiś zasadniczy serwis wiadomości, interesujących cały świat i że ten serwis powinien iść także na warszawskiej antenie.

Do tych uwag ogólnych dodajmy kilka szczegółowych.

A więc — „ostatnie wiadomości“. Doprawdy ostatnie, ale nie w czasie, tylko w gatunku. Jedenasta wieczor, zmęczeni ludzie pracy. Jeśli znajdują w sobie siły na zainteresowanie sprawami szerokiego świata, to chcą posłyszeć wiadomości krótkie, rzeczywiście najnowsze i tylko najważniejsze. A tymczasem: „Mówi Warszawa. Podajemy ostatnie wiadomości. Tegoroczne zbiory grzybów w województwie olsztyńskim...“ A tymczasem — speaker powtarza wiadomości już nie dziennika wieczornego, ale południowego czy rannego. A tymczasem — redakcja rozwadnia tekst na 10 minut, zamiast ograniczyć się do pięciu, wzorem godziny 16-ej.

Doskonały jest pomysł audycji „Z kraju i ze świata“ (program II, 21,30). Pomysł, polegający na łączeniu wiadomości z reportażem dźwiękowym, na wzór — wybaczcie — angielskiego „Radio Newsreel“. Szkoda tylko, że niewyzyskany: bo reportaż idzie w y ł ą c z n i e z kraju. A czy nie byłoby przyjemnie posłuchać nagranego na taśmie, powiedzmy, fragmentu wywiadu Molleta? Albo sceny odlotu min. Malenkowa z Anglii? Tu na pewno darowalibyśmy nieuniknioną zwłokę techniczną, choć przy dobrej woli i ją można by zredukować do paru godzin, nagrywając odpowiednie fragmenty z programu radia danego kraju.

No, wystarczy tego oskarżania aktualnego programu informacji zagranicznej Polskiego Radia. Pozwólcie jeszcze na dwie nieśmiałe propozycje pod rozwagę Biura Studiów. Jedna, to poranny i wieczorny przegląd prasy światowej. Krótki, o szerokim zakresie tematów, względnie koncentrujący się na jednej, ważnej sprawie. Często, prawie codziennie robi to nasza prasa w formie depeszy PAP-u lub działu „Co piszą inni?“. Nie wydaje mi się, aby tych samych źródeł informacji (biuletyny agencyjne), nie mogło wykorzystywać nasze radio w regularnej audycji, powiedzmy, dziesięciominutowej.

Drugi postulat: rozszerzyć wprowadzoną ostatnio formę swobodnych dyskusji radiowych również na sprawy międzynarodowe. Nie za często, ale przypuśćmy raz na dwa tygodnie, radio powinno zapraszać kilku ludzi — dziennikarzy, polityków, a także outsiderów w tej dziedzinie — podając im jedynie temat dyskusji. Niech się jąkają, niech sepleną, niech nawet mówią rzeczy niesłuszne. To dobrze. To ożywi martwy dziś dział zagraniczny Polskiego Radia. Bo dzisiaj wlecze się on naprawdę w ogonie programu radiowego, który w ostatnich miesiącach poszedł długimi krokami naprzód.

JANUSZ STEFANOWICZ

STEFAN LICHAŃSKI

PIEKŁO i ZIEMIA

Zapiski z lektury „Zbrodni i kary"

I

O EDGARZE Allanie Poem powiedziano kiedyś, że jest poetą dwu tylko uczuć, a mianowicie tajemniczości i lęku, oraz jednego zdarzenia: śmierci. Uboga to i posępna dziedzina, niczym owo we mgle i mrokach pogrążone wybrzeże kimeryjskie, na którym ląduje boski Odyseusz „dotarłszy do samych Okeanu krańcy". Posępniejsza jednak wydaje mi się kraina, nad którą panować wypadło geniuszowi Dostojewskiego. Dwa są najbardziej znane jej mieszkańcom uczucia: cierpienie i lęk, a najczęściej i najgłębiej przeżywane przez nich zdarzenia to nieszczęście i grzech.

Bliższych wyjaśnień wymagałoby użyte przeze mnie powyżej słowo „lęk", zwłaszcza, że jako powtarzające się w odniesieniu do Poego i Dostojewskiego może wzbudzić mylną sugestię, że w obu wypadkach chodzi o ten sam rodzaj lęku. Tak jednak nie jest. Poe, mimo swej głębokiej i nasyconej mistycyzmem religijności, jest przecież jako myśliciel spadkobiercą tradycji angielskiego empiryzmu i francuskiego racjonalizmu. Trwoga to dla niego wyzwanie, które rzuca umysłowi ludzkiemu n i e z n a n e. Toteż przeciwstawia on trwodze i śmierci potęgę badawczej myśli ludzkiej, gotowej płacić za zdobycie prawdy nawet życiem zdobywcy („Rękopis znaleziony w butelce"). Nawet w królestwo śmierci wiedzie go przede wszystkim ciekawość badacza. Czy istnieją jakieś formy bytowania z tamtej strony grobu? A jeżeli istnieją, jakie możemy co do nich snuć przypuszczenia, opierając się na danych dostarczonych przez oświadczenie i zdrowy rozsądek? Opowiadania takie, jak np. „Rewelacje mesmeryczne", „Co zaszło w wypadku M. Valdemara?" czy „Rozmowa Monosa z Uną" nie są rojeniami oderwanego od rzeczywistości marzyciela, lecz przetłumaczonymi na poetyckie wizje hipotezami fantasty-naukowca, aczkolwiek bardziej zuchwałymi i sięgającymi o wiele dalej niż hipotezy Juliusza Verne czy H. G. Wellsa. Bardzo charakterystyczne dla jego stylu myślenia wydają mi się zacytowane jako motto „Ligei" i stanowiące trzon struktury zagadnieniowej tego opowiadania słowa Josepha Glanvilla: „I jest w tym wola, co nie umiera. Któż zbadał tajemnice woli oraz jej moce? Albowiem Bóg jest tylko mocną wolą, dzięki swemu natężeniu przenikającą wszechrzeczy. Człowiek nie ustępowałby aniołom i nie podlegałby wcale śmierci, gdyby nie słabość wątłej jego woli".

O autorze „Zbrodni i kary" można powiedzieć, że jest on epikiem grozy religijnej, jednym z najpotężniejszych w literaturze światowej wyrazicielem uczuć, które Rudolf Otto określił jako „numinowe", tzn. dające wrażenie bezpośredniego obcowania z potęgami nadzmysłowymi, ale obcowania przez lęk, przerażenie, przez *misterium tremendum*.

Ten lęk, na działanie którego wydaje Dostojewski swych bohaterów, jest groźniejszy i posępniejszy niż lęk znany z najbardziej nawet koszmarnych opowiadań Poego, ponieważ jest lękiem wobec wszechmocy Bożej, trwogą budzącą się w obliczu transcendentu absolutnie przekraczającego ludzkie poimowanie i odczuwanie. „Któż będzie mógł patrzyć na grom wielkości Jego?" — zapytuje księga Hioba. Czymże bowiem jest człowiek wobec Tego, który „zmierzył czas ciemnościom i koniec wszechrzeczy On upatruje, kamień też w mroku i cień śmierci"?

II

JAMES w „Doświadczeniu religijnym" dzieli ludzi wierzących na „zdrowomyślnych" i „dusze chore". Inny podział można by przeprowadzić przyjmując za podstawę sposób pojmowania Bóstwa. Chodzi mi w tym wypadku o dwie przeciwstawne sobie koncepcje, z których jedną określić można jako moralistyczną, drugą — jako mistyczną. Pierwszą reprezentuje w jej najpełniejszej i najczystszej postaci Immanuel Kant, przedstawiający istnienie Boga jako niemożliwy do odrzucenia postulat rozumu praktycznego, stwierdzającego obiektywność praw moralnych. Nie religia zatem jest gwarantem moralności, ale w niej właśnie musi szukać dla siebie uzasadnień. Nawet wiara w synostwo Boże Zbawiciela wymaga potwierdzenia ze strony moralności. Znanego nam z Ewangelii Jezusa „musimy naprzód zestawić z naszym ideałem doskonałości moralnej, zanim Go uznamy za takiego". Co zaś do pojęcia Boga jako najwyższego dobra, to bierze się ono „wyłącznie tylko z idei doskonałości, jaką rozum wytwarza sobie *a priori* i splata nierozłącznie z pojęciem wolnej woli". U deistów angielskich, jak Toland czy Collins lub ich prekursor Herbert z Cherbury, ten panmoralizm doprowadzi do zupełnego odrzucenia elementu nadnaturalnego w religii, dogmatów i autorytetu Kościoła i oparcia jej jedynie na rozumie i wrodzonym instynkcie moralnym. Posunąwszy się jeszcze o krok dalej dojdziemy do pojmowania Bóstwa jako czysto pojęciowej abstrakcji, potrzebnej tylko jako nieunikniony logicznie zwornik systemu filozoficznego; stąd zaś bardzo już blisko do zupełnego indyferentyzmu.

Stanowisko przeciwstawne tej koncepcji, którą określiłem jako mistyczną, odwraca porządek przyjęty przez moralistów i bezwzględny prymat przyznaje empirii doświadczeń religijnych dających poczucie bezpośredniego i osobistego obcowania ze sferą nadprzyrodzoności. Rozpatrywana z tej perspektywy moralność staje się jakby systemem zabiegów z zakresu higieny duchowej, której przestrzeganie sprzyja utrzymaniu łączności ze światem ponadzmysłowym. Innymi słowy: moralność to jedna z form ascezy (przy zasadniczym rozumieniu tego terminu: askesis — ćwiczenie) ułatwiającej duchowi panowanie nad ciałem i — w następstwie — zbliżenie się istoty ludzkiej do Boga, zstępowanie jej na —

Teodor Dostojewski

posługując się terminologią mistrza Eckharta — owo „dno" duszy, które jest z natury swej boskie i wiąże nas bezpośrednio — przez najistotniejszy rdzeń naszej jaźni — z Bogiem. Koncepcja mistyczna, wśród reprezentantów której znajdziemy Pseudo-Dionizego, Eriugenę, wielkich mistyków niemieckich XIV w., a której w naszym jeszcze stuleciu tak wspaniały wyraz dał w swej twórczości Kafka, koncepcja niejednokrotnie w swych skrajnych sformułowaniach jawnie z punktu widzenia prawowierności katolickiej heretycka (Eriugena, Almeryk z Bene, Joachim de Fioris), znajduje dla siebie punkt wyjścia w księdze Hioba.

„Obłóczyłem się w sprawiedliwość; i przyodziewałem się jako szatą i koroną sądem moim. Byłem okiem ślepemu, a nogą chromemu. Byłem ojcem ubogich: a sprawy, którejem nie wiedział, pilniem się wywiadował. Kruszyłem szczęki przewrotnika, a z zębów jego wydzierałem korzyść". Mimo to wydał go Pan w moc szatana i teraz Hiob żali się: „Wniwecz jestem obrócony: odjąłeś jako wiatr pożądanie moje, i jako obłok przeminęło zdrowie moje. A teraz we mnie samym więdnie dusza moja, i opanowały mię dni utrapienia. Wołam do ciebie, a nie wysłuchujesz mię; stoję, a nie patrzysz na mnie". Skarga ta zostaje dosłyszana, ale „odpowiadając z wichru" Pan nie wyjaśnia bynajmniej powodów swego postępowania, lecz gromi Hioba („Któż to jest, który wikle wyroki słowy nieroztropnymi?") i opowiada o swej wszechmocy, o zatrważającej wielkości i potędze swych dzieł. „Izali wypuścisz błyskawice i pójdą, a wróciwszy się rzeką tobie: Owośmy? Kto włożył we wnętrzności człowiecze mądrość? albo kto dał kurowi rozumność? Kto wysłowi sposób niebios? a harmonii niebieskiej kto każe usnąć?". Pobity tą argumentacją, olśniony majestatem Bożym, stwierdza Hiob: „Przetom niemądrze mówił i to, co nad miarę przechodziło wiadomość moję".

Ku temu biegunowi wiary, na którym władają tylko miłość i łaska, a zasługa i cnoty czynne albo grają rolę najzupełniej podrzędną, albo nawet są zupełnie zapoznawane, oscyluje wyraźnie Dostojewski. Nie bez powodu w ekspozycji „Zbrodni i kary" pysze Raskolnikowa, który chce „zabić zasadę", świadomie złamać prawo Boże, przeciwstawiona jest przechodząca wręcz w samouniczestwienie pokora Marmieładowa: „... a pożałuje nas Ten, który ulitował się nad wszystkimi, który wszystkich i wszystko rozumiał. On też jeden jest sędzią. (...) I osądzi wszystkich sprawiedliwie i przebaczy dobrym i złym, wyniosłym i pokornym... A gdy już skończy ze wszystkimi, nanonczas przemówi i do nas: „Chodźcie i wy! — powie. — Chodźcie, pijaniuteńcy! chodźcie, słabiutcy! chodźcie, zasromani!". I my wszyscy przyjdziemy nie wstydząc się, i staniemy przed Nim. A On powie: „Świnie jesteście! Na obraz i podobieństwo bestii; ale chodźcie i wy też!". Wówczas rzekną mądrzy, rzekną roztropni: „Panie przecz dopuszczasz tych oto?". A On powie: „Dlatego ich dopuszczam, o mądrzy, dlatego ich dopuszczam, o roztropni, że z nich żaden nie poczytywał siebie nigdy za godnego tej łaski...".

Nie poczytywać siebie za godnego łaski... Bo i jakiej łaski mógłby być godny ten, o którym autor księgi Hioba mówi: „Człowiek, zgniłość, i syn człowieczy robak"? Za godnych jakiejkolwiek łaski nie poczytują się ani Marmieładow, ani jego córka Sonia i dlatego właśnie dusze ich są otwarte na działanie łaski, i dlatego są oni narzędziami jej działania. Dzięki Marmieładowowi Raskolnikow zetknie się z Sonią, dzięki Soni zostanie ocalony z rąk tego, który jest królem nad wszemi synami pychy", i zwrócony Bogu — w całej swej nędzy, ułomności i bezsilności, aby mógł czerpać ze skarbów Bożego miłosierdzia.

Z perspektywy takiej właśnie koncepcji stosunku między Bogiem a Jego stworzeniem spojrzeć musimy na winę Raskolnikowa. Zabójstwo Alony Iwanowny jest grzechem, ale grzech ten pogłębia czyni rzuconym Bogu wyzwaniem intencja kierująca zabójcą: „I nie pieniądze były mi potrzebne przede wszystkim, Soniu, kiedy zabiłem, nie tyle pieniądze były mi potrzebne, jak co innego... Teraz wiem to wszystko... Zrozum: może, idąc tą samą drogą, już bym nigdy nie powtórzył morderstwa. Czego innego musiałem się dowiedzieć, co innego popychało mnie: musiałem się dowiedzieć wtedy, dowiedzieć się czym prędzej, czy jestem wszą jak wszyscy, czy też człowiekiem? Czy potrafię przekroczyć zasady moralne, czy też nie potrafię? Ośmielę się schylić po władzę, czy nie? Czy jestem drżącą kreaturą, czy też mam p r a w o...".

W tym wyznaniu swej winy Raskolnikow zamyka to, co językiem formuł filozoficznych wyraził Kierkegaard: „Z pomocą wiary wychowuje trwoga indywidualność do tego, aby spoczywała w Opatrzności. Tak samo dzieje się także w stosunku do winy, drugiej rzeczy, którą trwoga odkrywa. Kto tylko przez skończoność poznaje swoje przewinienie, stracił siebie w skończoności: ona bowiem nie rozstrzyga nigdy, czy człowiek jest winny, chyba w sposób zewnętrzny, jurydyczny, nader niedoskonały. Kto więc ma poznać swoją winę tylko analogicznie do policyjnych i kryminalistycznych skazań, nie pojmuje właściwie nigdy swojej winy, jeżeli bowiem człowiek jest winny, to jest nieskończenie winny".

Wina moralna to tylko kształt zbrodni Raskolnikowa; zawartością jej jest wina metafizyczna, wina religijna: próba przekroczenia granic wyznaczonych człowiekowi przez Opatrzność, próba sięgnięcia po władzę nad życiem i śmiercią, a więc po władzę przynależącą jedynie Bogu.

I tę właśnie winę ma na myśli Sonia, gdy usłyszawszy wyznanie Raskolnikowa woła z rozpaczą: „Cóżeś, cóżeś s o b i e (podkreślenie moje — S. L.) wyrządził!" Ona bowiem zdaje sobie sprawę z nieprzekraczalności granic ludzkiego losu i nie chce nawet wdawać się w jakiekolwiek rozważania nad tym, czy wolno usunąć choćby takiego szubrawca jak Łużyn. „Ale ja przecież nie znam zamiarów Rożych... Czemu pan pyta o to, o co pytać nie wolno? Po co są takie czcze pytania? Jakim sposobem miałoby to zależeć ode mnie? I któż dał mi prawo rozsądzania, kto ma, a kto nie ma żyć?".

Z tych wątpliwości nie zdał sobie sprawy Raskolnikow próbując „zabić zasadę" i dlatego jego zbrodnia to coś więcej niż grzech, to upadek w świat zła, wina nieskończona, oddzierająca duszę grzesznika od łączności z Bogiem.

III

CÓŻ można powiedzieć o tej teologii Dostojewskiego? Na pewno daleka jest ona od prawowierności katolickiej, czemu — pamiętając o przynależności wyznaniowej pisarza — trudno się zresztą dziwić. Czy jednak poglądy religijne autora „Biesów" były zupełnie zgodne z oficjalną nauką Kościoła wschodniego? Szczegółowe roztrząsanie tej sprawy przekraczałoby zarówno moje kompetencje, jak i ramy niniejszej pracy. W każdym razie pragnę zwrócić uwagę na fakt, że mistycyzm Dostojewskiego cechuje bardzo silne poczucie jak najbardziej realnie rozumianej osobowości Chrystusa oraz odrębności i trwałości dusz indywidualnych; słowem — że mistycyzm ten wolny jest od skłonności panteistycznych i w podstawowych swych założeniach oparty na Ewangelii, aczkolwiek pojmowanej bardzo indywidualnie. Sądzę jednak, że o wielkości Dostojewskiego nie decydują jego teorie filozoficzne i teologiczne. Jeżeli zaliczamy go do najwybitniejszych pisarzy o znaczeniu ogólnoświatowym, to nie dlatego, że dodał pewien własny wariant do ogólnego zbioru indywidualnych koncepcji osnuwających się wokół zasadniczego schematu doktryny mistycznej — tego samego w gruncie rzeczy (pominąwszy odmienność terminologii i stylu pisarskiego) u Plotyna i Jamblicha, co i u Bergsona czy Kafki.

Jeden z największych tytułów tego pisarza do sławy — to jego psychologia religii, nieporównane, mistrzowskie obrazy doświadczeń religijnych, zrodzonych w kręgu tych przeżyć, które już poprzednio — idąc za Rudolfem Otto — określiliśmy jako „numinowe". Przeżycia opisane w „Zbrodni i karze" są przeżyciami z krainy upadku, z krainy upadłych aniołów: z piekła. Chodzi tu, oczywiście, nie o to piekło, do którego niegdyś, wiedziony przez cień Wergiliusza, zstępował Dante, schodząc

Z cichego świata w światy
wiecznie drżące,
W nową dziedzinę, nieśmiertelnie
ciemną.

Rozprawiać o tym poza rubieżą doczesności wznoszącym się „mieście utrapienia" mają prawo jedynie teologowie i — w pewnych wypadkach — natchnieni poeci-wizjonerzy. Niewiele natomiast może tu mieć do powiedzenia krytyk literacki.

Istnieje jednak najzupełniej konkretnie piekło doczesne, immanentne piekło duchowych przeżyć człowieka dręczonego świadomością popełnionych zbrodni, wyrzutami sumienia, poczuciem zawinionego przez siebie wyłączenia się ze wspólnoty ludzkiej przyjaźni i solidarności, a wreszcie, jeżeli chodzi o wierzących, utratą łączności z Bogiem, zatracenia się w zło, które w głębi duszy uważa się za zło i potępia — wydając tym samym wyrok na siebie.

Do takiego właśnie piekła wtrąca sam siebie Raskolnikow, mordując starą lichwiarkę. Zbrodnia ta, która miała być dla niego praktycznym wyzwoleniem się z norm i reguł powszechnie uznawanej moralności, zapewnić poczucie absolutnej swobody wewnętrznej i przynależności do grona „ludzi wyższych", okazuje się próbą całkowicie nieudaną. „Mniejsza o staruchę! — myślał febrycznie i porywczo. — Starucha jest może pomyłką i nie o nią chodzi! Starucha była tylko chorobą... Chciałem przekroczyć co rychlej... nie zabiłem człowieka, zabiłem zasadę! Tak, zasadę zabiłem, ale czy przekroczyłem? Nie, pozostałem po tej stronie... Potrafiłem tylko zabić! Właściwie, jak się okazuje, nie potrafiłem nawet tego...".

„Pozostałem po tej stronie": oto istota kary, którą ściągnął na siebie Raskolnikow. Łamie go i niweczy poczucie własnej małości, niedorośnięcia do miary Napoleona, któremu „wszystko wolno". Równolegle z rozwojem i pogłębieniem się tego poczucia rośnie trwoga przed zdemaskowaniem. Nie jest to jednak trwoga przed sądem, wyrokiem skazującym i karą lecz trwoga przed k o m p r o m i t a c j ą, przed publicznym obnażeniem swojej słabości i klęski. „Nie bądź dzieckiem, Soniu — wyszeptał. — Jakaż jest moja wina wobec nich? Po co mam iść? Co im powiem? To wszystko upiory tylko. Oni sami wyrzynają ludzi milionami i jeszcze mają to sobie za zasługę. To hultaje i szubrawcy, Soniu... Nie pójdę. Cóż im powiem? Że zabiłem, a pieniędzy wziąć nie miałem odwagi, ukryłem pod głazem — dodał z cierpką ironią. — Sami się będą ze mnie śmiali, powiedzą: głupi, że nie wziął. Głupiec i tchórz! Nic, nic nie zrozumieją, Soniu, i nie są godni zrozumieć. Po co mam iść? Nie pójdę, Soniu, nie bądź dzieckiem..."

„Kto... umie trwożyć się odpowiednio, ten nauczył się najwyższego", bowiem „trwoga jest możliwością wolności" — mówi Kierkegaard. „Trwoga jest — w połączeniu z wiarą — absolutnie kształcąca, niszczy bowiem wszelkie skończoności, odkrywa wszelkie ich złudzenia". Trwoga Raskolnikowa nie jest powiązana z wiarą i na niej ugruntowana; jest ona samozachowawczym lękiem jednostki pragnącej uchylić się przed konsekwencjami swych czynów. W tej trwodze nie ma skruchy i pokory, które oczyściłyby ją, przeobraziły w lęk moralny natchniony bojaźnią Bożą. Trwoga ta zamknięta jest w kręgu ludzkiej immanencji; jest przerażeniem zawiedzionej i rozgoryczonej pychy. Dlatego nie znajduje ona ujścia na zewnątrz. Jak złośliwy nowotwór rozrasta się w psychice Raskolnikowa, nasyca ją obłąkańczą udręką monomanii.

Wszystko, co Raskolnikow przeżył w okresie między popełnieniem zbrodni a przyznaniem się do niej, wyrażone zostało, jakby jedną wielką metaforą, owym snem, w którym nieszczęsny morderca powtarza swą zbrodnię. Powtarza, ale bezskutecznie: raz po raz ciosy jego siekiery spadają na głowę Alony Iwanowny, a stara lichwiarka tylko odwraca twarz dygocąc od tłumionego z trudem śmiechu. Z sąsiedniej sypialni coraz wyraźniej słychać szepty i śmiechy. Raskolnikow chce uciekać, ale z przerażeniem widzi, że sień, klatkę schodową i schody zapełnia cicha w przyczajonym milczeniu czyhających na coś ludzi. Absolutna bezowocność zbrodni, która miała być czynem wyzwalającym, trwoga przed zdemaskowaniem, poczucie znalezienia się w sytuacji najzupełniej bezwyjściowej — wyraziły się w tej sennej wizji z niesłychaną wyrazistością i siłą. Sen ten opisany jest tak, jakby Dostojewski znał świetnie całą współczesną, przez Freuda przecież dopiero zainicjowaną a przez jego uczniów rozwiniętą, onejrologię.

Skoro zaczepiliśmy już o sprawy onejrologii, warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden godny rozpatrzenia szczegół. W swej cennej i pięknej pracy o psychologii marzenia sennego prof. Bilikiewicz ustala związek zachodzący pomiędzy porą dnia, w której rozgrywa się akcja danego snu, a okresem życia, do którego ten sen się odnosi. Sny o tematyce nocnej byłyby więc przeważnie snami o śmierci lub fantazjami na temat życia pozagrobowego.

Nie bez znaczenia wydaje się więc fakt, że akcja owego snu Raskolnikowa rozgrywa się właśnie nocą, przy świetle księżyca, które „smutno i tajemniczo sączy się przez szyby". „To od księżyca płynie taka cisza" — myśli w pewnym momencie śniący Raskolnikow. Ta sceneria nocy przesyconej upiornym światłem martwego satelity naszej planety rzutuje wyrażone tym snem przeżycia bohatera na tło wieczności. Raskolnikow czuje się raz na zawsze określony swoją zbrodnią, potępiony już tutaj na ziemi, zamknięty za życia w piekle.

To piekło wewnętrznej udręki, prywatne, immanentne piekło cierpień własną ręką na siebie ściągniętych wrosło już w jego duszę, stało się integralną formą jej bytowania. „Piekło wiem gorsze niż Dante, piekło żywe" — jak mówi zjawa Stańczyka w „Weselu". Niezależnie od tego, co myśli on o życiu pozagrobowym („Nie wierzę w przyszłe życie" — mówi w rozmowie ze Swidrygajłowem), może Raskolnikow powiedzieć o sobie, jak Dziennikarz z dramatu Wyspiańskiego: „Żyję w piekle". I ten właśnie stan świadomości wypowiada jego wyżej omówiony sen

IV

PRZYPOMNIJMY sobie przejście od opisu tego snu do sceny następnej: „Chciał krzyknąć — i zbudził się. Ciężko odetchnął — ale, rzecz dziwna, sen zda się trwać dalej: drzwi są szeroko otwarte, w progu stoi zupełnie nieznany mu człowiek i bacznie mu się przygląda". Jakby jakaś niesamowita zjawa wkracza pogranicze jawy i snu (snu o piekle i wiecznym potępieniu) w życie Raskolnikowa znany mu poprzednio tylko z cudzych relacji Swidrygajłow. Czy tak właśnie potraktowane wprowadzenie w akcję jednej z najważniejszych figur powieści jest jedynie autorską gierką obliczoną na wywołanie dreszczyków emocji, czy też zawiera jakąś poważniejszą myśl? Odpowiedź na to pytanie przynosi nam tekst. Swidrygajłow przyszedł do Raskolnikowa w ściśle określonym celu: chce on teraz, kiedy przez śmierć Marfy Pietrowny odzyskał swobodę, zbliżyć się na nowo do Duni, którą — jak to się okazuje z dalszego toku akcji — na swój, bar-

(Dokończenie na str. 7)

Z cyklu — „Zbrodnia i kara", rys. Andrzej Możejko

Notatki

PAMIĘCI POLEGŁYCH KOLEGÓW
WSPOMNIENIA TE POŚWIĘCAM

Myśl spisania wspomnień z pamiętnych dni sierpnia powstała już na staromiejskich barykadach. W chwilach wolnych od walki, w przerwach między atakami wroga i nalotami samolotów, zrobiłem wiele notatek i zdjęć z terenu naszych walk. Niestety, nie wszystkie udało mi się zachować. Spłonęły wraz z szeregiem mych przyjaciół pod gruzami Franciszkańskiej. Mimo to, myśl owa prześladowała mnie tak długo, dopóki nie wziąłem pióra do ręki. Robiłem to sam dla siebie, aby dać upust jakiejś wewnętrznej potrzebie, która raz jeszcze kazała mi świadomie przeżyć atmosferę sierpniowych dni.

Chciałbym, aby można było w ich chaosie odnaleźć choćby w części ducha, jaki nam towarzyszył w każdej walce, w każdej chwili. Ducha, który był naszą największą siłą i niewątpliwie najcenniejszą wartością, jaka zrodziła się w ogniu powstańczych barykad.

Ducha, który pozwolił nam trwać do końca na stanowiskach, a Warszawie przyniósł obok gruzów, bólu i nieszczęść sławę miasta, dla którego nie ma zbyt wysokiej ceny wolności.

WITOLD SIKORSKI

Warszawa, w maju 1945 r.

PRZED BURZĄ

LATO tego roku było niezwykle upalne. Warszawa prażyła się w słońcu. W każdym domu, na ulicy, w tramwaju czy kawiarni wyczuwało się atmosferę podniecenia. Miasto pełne było napiętego oczekiwania. Wszystko wydawało się nam jakieś inne. Nadzieja przestała być przywilejem naiwnych optymistów. Inny wygląd przybrała ulica warszawska. Wyległy na nią po raz pierwszy od lat tłumy przechodniów, z najgłębszą satysfakcją i w nienawistnym milczeniu żegnające rozbite armie Hitlera. Ciągnąc na Zachód przez Warszawę hitlerowcy wracali z nieudanego podboju świata na jednokonnych wózkach, żegnani milczącą nienawiścią i pogardą Warszawiaków. Butne patrole niemieckie — postrach warszawskiej ulicy — przesuwały się skrajem chodnika jak cienie. Pojedynczy Niemcy, których spotykało się coraz rzadziej na ulicach miasta, nie wychodzili poza śródmieście. Lękliwie rozglądając się, szybko znikali w swoich fortecach, otoczonych szczelnie drutem kolczastym i uzbrojonymi bunkrami.

W ostatnich dniach lipca ogłoszono zarządzenie niemieckich władz policyjnych o obowiązku sta-

Jedna z ulic warszawskich w czasie powstania

wienia się stu tysięcy mężczyzn do kopania rowów strzeleckich w okolicy miasta. Granatowi policjanci roznosili w pośpiechu indywidualne wezwania, lecz w wyznaczonym dniu nikt się nie stawił. Lud Warszawy po raz pierwszy ogłosił jawny, powszechny bojkot zarządzeń okupanta. Warszawa przyjęła pozycję wyczekującą.

W tych dniach zostałem nagle zawezwany do stawienia się na punkcie alarmowym mojego oddziału, mieszczącym się w mieszkaniu rodziców kolegi przy ulicy Złotej, w pobliżu gimnazjum im. Lelewela. Zastałem tam już kilku kolegów.

Byliśmy przekonani, że czeka nas jakieś doraźne zadanie, które, zwłaszcza w ostatnich czasach, spełnialiśmy często. Długie godziny oczekiwania upłynęły na rozmowach o sytuacji, w związku ze zbliżającym się frontem. W godzinach popołudniowych zjawił się nasz dowódca, który przywiózł ze sobą paczkę zawierającą kilkanaście biało-czerwonych opasek, zaopatrzonych w numery i napisy. Teraz dopiero zrozumieliśmy wszystko.

Od dawna liczyliśmy się z możliwością rozpoczęcia jawnej walki zbrojnej w Warszawie, lecz trudno było uwierzyć, że mogło to nastąpić już, tak szybko. W wybuch otwartego powstania bardziej wierzyliśmy przed rokiem niż teraz, kiedy staliśmy u jego progu. Ostatnie nasze wątpliwości rozwiały się z chwilą przybycia łączniczek, które przywiozły całą naszą broń.

Dowódca nie powiedział nic więcej poza tym, że powstanie ma wkrótce wybuchnąć, i zarządził w związku z tym stan pogotowia bojowego tak długo, dopóki nie napłyną dalsze rozkazy.

Noc minęła nam na snuciu naiwnych planów i marzeń o tym, co miało nas wkrótce spotkać. Nastrój był bardzo podniosły. Zdawało się nam, że wydanie Niemcom otwartej zbrojnej walki było celem naszego życia. Byliśmy tym tak pochłonięci, że wszystkie inne sprawy zniknęły z naszych myśli.

Rano przybyła łączniczka z rozkazem rozejścia się do domów i oczekiwania na dalsze zarządzenia. Rozstaliśmy się z żalem i nadzieją, że nie na długo.

Następnego dnia historia się powtórzyła: długie godziny oczekiwania w napięciu i rozkaz rozejścia się. Zwątpiliśmy.

Wracałem do domu w smutnym nastroju. Wysiadając z tramwaju spotkałem brata, który — podobnie jak ja — wracał z odwołanego pogotowia swego oddziału. W milczeniu szliśmy przez ciche alejki Mokotowa. Na jednej z ulic natknęliśmy się na biwakującą kolumnę niemieckich czołgów i aut. Stały rozciągnięte na błyszczącym asfalcie, kryjąc się pod konarami drzew. Na wieżach czołgów siedzieli żołnierze w czarnych uniformach, spoglądając ponuro i nieufnie na rzadkich przechodniów. W ich rękach połyskiwały lufy naładowanej broni. Przechodziliśmy wolno, przyglądając się żelaznym kolosom. Odprowadzały nas zimne, wrogie spojrzenia i paszcze podniesionych luf.

Rano zniechęcony przyjechałem znów na Złotą w przekonaniu, że przyjdzie mi to jeszcze robić wiele razy.

Przybyła łączniczka z rozkazem natychmiastowego przygotowania broni i osiągnięcia pełnego pogotowia bojowego do południa.

Nawet te rozkazy nie zmieniły jednak naszego przekonania, że będziemy musieli jeszcze długo czekać na rozkaz, podrywający nas do jawnej walki.

Broń czyściliśmy w milczeniu, bez podniecenia, jakie zawsze nam towarzyszyło w przygotowaniach do akcji.

Punktualnie o 12 głośno zabrzęczał dzwonek u drzwi. Energicznym krokiem wszedł do pokoju nasz dowódca.

— Z rozkazu Komendanta Głównego Armii Krajowej, dziś o godzinie 17-ej rozpocznie się w Warszawie akcja „Burza".

Nie wiem, co przeżywali w tej chwili moi koledzy, ale kiedy nasz dowódca podawał rozkaz rozpoczęcia powstania, ja sam przeżyłem jedną z najgłębiej zapadających w pamięć chwil. Liczyłem się z tym, że powstanie musi kiedyś wybuchnąć, lecz gdzieś w podświadomości tkwiła nadzieja, że może go nie będzie. Nie wiem, czy było to zwykłe tchórzostwo, nie potrafiłbym tego sam określić. Z drugiej strony z całym zapałem, odpowiadającym memu wiekowi, pragnąłem go gorąco, marzyłem o nim, jak wszyscy moi koledzy. Targany sprzecznymi uczuciami: zapału i trwogi przed nieodwracalnością wydarzeń, których mieliśmy się stać współtwórcami, słuchałem suchych słów rozkazu.

Raczej instynktownie odczułem, niż zrozumiałem, że nie będzie to zwykła walka zakończona chlubnym zwycięstwem i wspaniałą paradą, ale zacięta walka o życie, walka, w której kruszyć się będą kopie naszego młodzieńczego entuzjazmu i woli zwycięstwa z potęgą stali i bezwzględnej nienawiści. Walka, która przyniesie nam wiele trudów, nieszczęść i cierpień, która obficie zrosi krwią bruki warszawskich ulic, w której ginąć będą ci, których kocham.

Po chwili już o tym nie myślałem.

KONCENTRACJA

OSTATNIE spojrzenie na Warszawę i wchodzimy w głuchą uliczkę Woli. Od strony cmentarza biegnie Andrzej Morro z Gienkiem Kołczanem. Gieniek trzyma w ręku parabelkę i wzywa wszystkich do pośpiechu. Wchodzimy szybkim krokiem do fabryki Telefunken. Unieszkodliwiamy centralę telefoniczną i rozchodzimy się po salach. Chłopcy zakładają w pośpiechu części oporządzenia wojskowego. Wszyscy są trochę podnieceni i zaniepokojeni. Nie wiadomo, czy koncentracja się uda. Jeśli tak, to połowa zadania będzie wykonana. Kołczan rozkazuje mi wejść do bramy i zastąpić stojącego tam Wiktora. Przy bramie stoi kilku ludzi z naszego plutonu z bronią. Musimy zatrzymywać wszystkich, aby nie przeszkodzili nam w koncentracji. Do bramy przychodzi coraz więcej chłopców uginających się pod wielkimi pakami, z których wystają dobrze mi znane części składowe stenów.

— Do Brody! Do Brody! — mówią pierwsi nie pytani o hasło.

Na podwórzu bieganina i ruch. Zbierają się oddziały. Rozdawana jest broń i ekwipunek. Jest już pluton „Sad" i „Felek" z naszej kompanii. „Felek" robi wspaniałe wrażenie. Wszyscy są ubrani w polowe mundury. „Sad" jest trochę zaniepokojny, bo Jacek, wiozący cały zapas ich długiej broni, jeszcze nie przyszedł. — Czy nie wpadł? W nim cała nadzieja! Nasz pluton jest już w komplecie. Maryśka zaczyna się kłócić z Sadownikami.

Ulica Mireckiego nie była nigdy ruchliwą ulicą, ale teraz ruch jak na Marszałkowskiej. Czasami ktoś obcy. Prosimy go grzecznie do wewnątrz. Zbliża się jakaś pani.

— Może pani pozwoli — zapraszamy. Zdziwiona wchodzi na podwórze powoli, wystraszona. Na widok naszych mundurów i broni wydaje cichy okrzyk zdumienia:

— O Boże!... więc już!...

Podchodzi do niej uśmiechnięty Maryśka.

— Niech pani pozwoli do środeczka. Poczeka pani parę godzin i po wszystkim. Odwieziemy panią zdobytym autem do domu.

Zachęca wystraszoną paniusię do zajęcia miejsca w specjalnie przeznaczonym dla „gości" apartamencie.

Od strony cmentarza nadjeżdża auto. Harcerze wychodzą z bramy i zatrzymują je. Szofer uśmiecha się i zjeżdża na wskazane miejsce. W bramie stoi por. Giewont i kilku innych harcerzy. Od strony Młynarskiej słychać warkot silnika. Zza zakrętu wyjeżdża wolno ciągnik wojskowy. Chłopcy próbują go zatrzymać, ale szofer dodaje gazu. Jedzie wprost na nas. Wybiegamy przed bramę, ostrzeliwując go z pistoletów maszynowych i pistoletów. Ciągnik zjeżdża na bok pod mur, jak gdyby chciał nas ominąć, i staje. Ktoś krzyknął:

— Uwaga! Granat!

Silny huk wstrząsnął okolicą. Schowaliśmy się za bramę, nie przestając strzelać. Zaraz po wybuchu dopadamy do ciągnika, ale Niemców już nie ma. Zostawili ciągnik i zbiegli do getta. Ładna historia! Godzina czwarta, a my już zaczęliśmy.

Niemcy na pewno przyślą nam tutaj zaraz pogotowie policyjne. Z bramy wychodzi jak zwykle uśmiechnięty kpt. Jan i por. Jerzy. Kapitan ma Virtuti Militari. Obaj oficerowie — krzyże harcerskie. Są starszymi, zasłużonymi harcerzami. Kapitan Jan poprawia beret na głowie i siada za kierownicą pozostawionego przez Niemców ciągnika. Uruchamia motor i rusza wolno w kierunku Okopowej.

Tymczasem Andrzej Morro, wiedząc, że Niemcy za chwilę przyślą tutaj odsiecz, wysyła pluton. „Alek" na róg Mireckiego i Okopowej z zadaniem powstrzymania Niemców. Kołczan prowadzi pluton rozwinięty po obu stronach ulicy, zbliżają się do skrzyżowania ulic i zajmują stanowiska. Maryśka ukryty leży nad celownikiem swego RKm-u. Na ulicy zupełny spokój. Ludzie chodzą swobodnie nie przeczuwając, co za chwilę nastąpi. Ciszę przerywa nagle głos trąbki pogotowia policyjnego, tzw. Bereitschaft des Überfallkommando. Jadą! Kołczan daje znak ostrzegawczy. Głos trąbki staje się coraz donośniejszy. Już ich widać! Dobrze znane, zielone, duże auto z RKm-em gotowym do strzału. W aucie kilkunastu Niemców. Jadą zupełnie spokojni, nie przeczuwając, co ich czeka. Myślą zapewne, że jak zwykle będą mścić się na bezbronnych ludziach. Kołczan podnosi wolno rękę do góry i podaje cicho komendę:

— Ognia!

Kilkanaście pm-ów i dwa RKm-y zaczynają... Auto gwałtownie staje z charakterystycznym zgrzytem hamulców. Niemcy zeskakują w pośpiechu, szukając schronienia w pobliskich domach. Nasi strzelają z jednakowym zapałem i celnością. Na jezdni zostaje kilka trupów w zielonych mundurach. Niemcy próbują się wycofywać, ostrzeliwując się z kb. Chłopcy posuwają się za nimi. Łączniczka Hanka podbiega do leżącego na ulicy Niemca i zabiera mu karabin. Pierwsza zdobycz. Sięga po niego kilka par rąk.

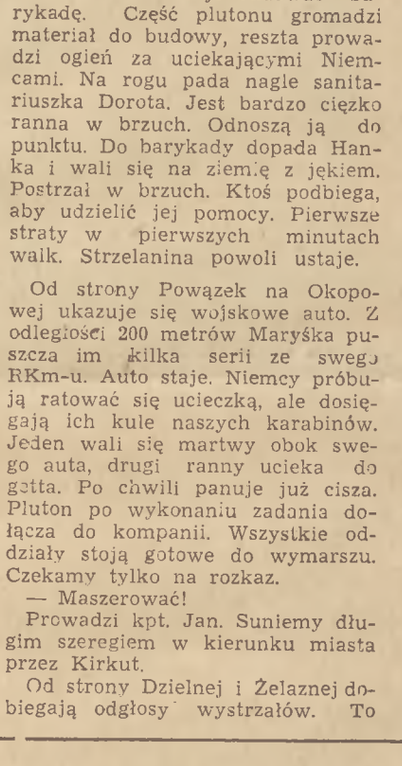

Por. „Maryśka" — Jan Jaworowski — lat 24. Kaw. Virtuti Militari i K. W., zmarł z odniesionych ran 10.X.44 r. — w Szpitalu Wolskim.

Zdobycz dostaje Kazik, który dotąd był w „pospolitym ruszeniu" — bez broni.

Kołczan rozkazuje budować barykadę. Część plutonu gromadzi materiał do budowy, reszta prowadzi ogień za uciekającymi Niemcami. Na rogu pada nagle sanitariuszka Dorota. Jest bardzo ciężko ranna w brzuch. Odnoszą ją do punktu. Do barykady dopada Hanka i wali się na ziemię z jękiem. Postrzał w brzuch. Ktoś podbiega, aby udzielić jej pomocy. Pierwsze straty w pierwszych minutach walk. Strzelanina powoli ustaje.

Od strony Powązek na Okopowej ukazuje się wojskowe auto. Z odległości 200 metrów Maryśka puszcza im kilka serii ze swego RKm-u. Auto staje. Niemcy próbują ratować się ucieczką, ale dosięgają ich kule naszych karabinów. Jeden wali się martwy obok swego auta, drugi ranny ucieka do getta. Po chwili panuje już cisza. Pluton po wykonaniu zadania dołącza do kompanii. Wszystkie oddziały stoją gotowe do wymarszu. Czekamy tylko na rozkaz.

— Maszerować!

Prowadzi kpt. Jan. Suniemy długim szeregiem w kierunku miasta przez Kirkut.

Od strony Dzielnej i Żelaznej dobiegają odgłosy wystrzałów. To zaczęli już nasi w Śródmieściu. Długi wąż postaci sunie wzdłuż muru Kirkutu.

— Nareszcie!

— Nareszcie!...

Wola, 1 sierpień 1944 r.

ZE STAROMIEJSKICH TERMOPIL

PLUTON nasz jest już od kilku dni na linii. W kompanii jest tak mało ludzi, że pluton nie jest wcale zmieniany. Siedzimy na gruzach szpitala Bożego Jana. Jedzenie w postaci słabo kraszonej kaszy, zupy i kilku tabliczek smacznej essesmańskiej czekolady przyniesiono nam na miejsce. Jesteśmy strasznie zmęczeni, gdyż od kilku dni Niemcy walą do nas z moździerzy, dział wszystkich kalibrów i najcięższych miotaczy min. Ponadto bez przerwy bombardowania lotnicze. Bezczelne sztukasy zrzucają swój ładunek z wysokości kilkudziesięciu metrów. A to wszystko jeszcze ukoronowała pancerka z linii okólnej, która strzela do nas bez przerwy ze wszystkich swych dział.

Dowodzi teraz z kolei Mały Jędrek, który objął pluton po rannym Maryśce. — Maryśka — to strata dla nas nie do odżałowania. — Wczoraj, biegnąc przez podwórze szpitalne, dostał się pod ogień moździerzy i tak go pocharatało, że sanitariuszki nie wiedziały, jak go bandażować. Miał w ciele kilkadziesiąt drobnych odłamków. Małe, ale strasznie bolesne rany.

Kiedy wynoszono go na noszach do szpitala, ze łzami w oczach żegnał się z nami:

— Czołem chłopcy, trzymajcie się dobrze i czekajcie na mnie... pewnie wrócę niedługo do was...

Sam na pewno w to nie wierzył. Szkoda chłopa — pomyślałem — będzie musiał leżeć do końca powstania. Dzisiaj wybieramy się do niego z Burym. Zaniesiemy mu znalezione przez Mietka mleko skondensowane i kilka tabliczek czekolady, którą specjalnie dla niego składamy. Maryśka tak bardzo lubił tę czekoladę.

Ogień od kilku dni jest tak silny, że prawie cały pluton musi siedzieć w schronie, aby uniknąć olbrzymich strat. Na linii wystawieni są tylko obserwatorzy z każdej drużyny. Znając Niemców, możemy przypuszczać, że nie będą nacierali pod ogniem własnej artylerii.

Siedzimy w schronie, oparci o lufy peemów. Rozmawiamy o naszych walkach. Jest Mały Jędrek, Mietek, Bury, Witold Czarny, który przyszedł do nas w gościnę, jest Jurek X i inni. Mietek czyta komunikat dowództwa, który donosi o uderzeniach niemieckich, zmierzających do połączenia Żoliborza ze Śródmieściem przez Stare Miasto. Wyrok śmierci został już podpisany, a artyleria i lotnictwo niemieckie wykonują go z całą skrupulatnością. Ktoś mówi, że gen. Bór wydał rozkaz, żeby bronić się do upadłego, bo oddanie Starówki

Sprawa

Jacek Dębiński

ZPEWNOŚCIĄ nieraz jeszcze powracać będziemy do najnowszej historii naszego narodu, oceniać ją, robić obrachunki. Oddalenie w czasie zazwyczaj sprzyja obiektywizmowi w ocenie, daje perspektywy, uwalnia od emocjonalnych obciążeń. Zyskuje na tym historyczna wiedza, konstytuująca kształt tradycji i kultury narodowej. Umiejętność wydobycia i ukazania historycznej prawdy, szczególnie w jej najogólniejszym, dostępnym dla wszystkich obrazie — ma ogromny wpływ na współczesność, pozwala sięgnąć do tego wszystkiego, co wartościowe i piękne w tradycji narodu. Fałszowanie historii, szczególnie bliskiej, dostępnej pamięci ludzkiej, szczególnie tragicznej — mści się doraźnie na współczesności w sposób czasem bardzo bolesny. Tym bardziej, gdy wiedza historyczna ma być podstawą praktyki społecznej, tym bardziej, gdy zależy od niej polityka.

Choć wydaje mi się, że stwierdzenie błędności dokonywanej w minionym dziesięcioleciu oceny najnowszej historii byłoby powtarzaniem banałów — i jest nim niewątpliwie! — to jednak sądzę, iż warto się na tej sprawie dłużej zatrzymać, by nie popaść w skrajne przeciwieństwo: nie utopić historycznej prawdy z pomocą nowych banałów. Ograniczenie się do stwierdzenia błędu w ocenie historycznej nie stanowi dostatecznego zadośćuczynienia wobec prawdy, a — co najwyżej — doraźnie wynagrodzić może krzywdy wyrządzone żyjącym ludziom i przywrócić im utraconą wiarę w siły sprawiedliwości. Niepozbywalne jest bowiem prawo każdego narodu do własnej historii, do pełni historycznej prawdy, i wszystkich wartościowych tradycji kultury narodowej. Tylko naród obcujący ze swą własną historią zdolny jest do dalszego świadomego rozwijania najwartościowszych pierwiastków swej kultury. W podjętej w minionym dziesięcioleciu ocenie historii, szczególnie najnowszej, nie zadano sobie — trzeba przyznać — zbyt wiele trudu w poszukiwaniu trudnej prawdy. Sprawy walki narodowo-wyzwoleńczej z faszyzmem niemieckim załatwiono wprawdzie z rozbrajającą prostotą, ale za to w zupełnej niezgodzie z faktami, doskonale dostępnymi ludzkiej pamięci i bliskimi uczuciom.

Zważmy: — Co odpowiedzieć powinien był dorastający młody człowiek, powiedzmy na egzaminie dojrzałości w Liceum Pedagogicznym (!) na pytanie, czym była „w rzeczywistości" Armia Krajowa? Im staranniej oddawał się nauce, im bardziej zdołał się odseparować od „szkodliwych wpływów" środowiska starszych, im uważniej śledził bieg aktualnych wydarzeń w prasie i radio, przysłuchiwał się komentarzom i przebiegom procesów — z tym większą, najuczciwszą pewnością powinien był odpowiedzieć i odpowiadał, że Armia Krajowa była w rzeczywistości organizacją podziemną (nie wiadomo tylko, dlaczego wobec tego podziemną!) zajmującą się zwalczaniem lewicy społecznej w najściślejszej współpracy z Gestapo. Dalej, że „zbrodnicze akowsko-winowskie podziemie" strzelało zza węgła do żołnierzy rewolucji i chłopów przeprowadzających reformę rolną, walczyło przeciw żołnierzom radzieckim itp. Taka była mniej więcej wiedza pozytywna zdobyta z podręczników „historii", z gazet, procesów, na wykładach. Jako uzupełnienie dodawano do tego wstydliwie króciutką, sloganową wzmiankę o „oszukanych masach prostych żołnierzy AK, którzy wbrew rozkazom dowództwa walczyli z Niemcami". Koniec, kropka. Gdzie, kiedy, jak, z jakim skutkiem i jaki to miało wpływ na ogólny przebieg działań wojennych — tego nie można było się dowiedzieć z żadnego podręcznika, żadnej gazety, żadnego komentarza. Co najwyżej, np. w rocznicę Powstania Warszawskiego warty honorowe stawały przy miejscach publicznych egzekucji, składano wieńce przy grobie sztabu AL, a w gazecie ukazywało się jedno zdjęcie, notatka o uporządkowaniu grobów i dwunastowierszowy komentarzyk o zdradzieckich przywódcach. Skutki tej edukacji nie dały na siebie długo czekać. Oto, co pisze dziś jeszcze anonimowy autor w liście do Polskiego Radia, w związku z wypowiedzią Edmunda Osmańczyka:

„...Kto należał do AK?

Właściciele majątków dużych i mniejszych, kułacy, lub ich synowie oraz mały procent robotników. I ci ostatni nie są bez winy. Czyż nie mieli własnego pojęcia, że należą do organizacji bratobójczej. Organizacji, która na każdym kroku wiązała się z wrogiem, a nie walczyła przeciwko niemu. Szereg procesów podaje nam właśnie fakty, jak to się działo. Różne przykłady życia codziennego ujawniają jeszcze dotychczas wrogość do Polski Ludowej. Całe szeregi nasyłanych szpiegów, to przeważnie byli AK-owcy...

...Niech autor będzie przekonany, że głos mój jest głosem wielu tysięcy ludzi..."

Oto dlaczego sprawa nie ogranicza się już dziś do „ludzi z AK". Krzywda wyrządzona została nie tylko żyjącym, byłym żołnierzom antyfaszystowskiego podziemia, nie tylko dziesiątkom tysięcy poległych w walce z faszyzmem i setkom tysięcy, a może i milionom ich żyjących bliskich, ale przede wszystkim całemu narodowi, któremu odebrano prawo do jednej z największych wartości, jaką wniósł w swej historii. Jeśli możliwe jest dziś wypowiadanie niewątpliwie subiektywnie uczciwych sądów, tak lekkomyślnie wymierzających sprawiedliwość najbliższej przeszłości, jak wyżej przytoczone urywki listów — winę za to ponoszą z pewnością nie ich głosiciele.

Wymierzyć sprawiedliwość historii nie jest łatwo. Szczególnie trudno to zrobić wobec historii współczesnej i tak tragicznie pogmatwanej, jak owe lata 1939 — 1945. Istnieje jednak również w dziedzinie historii pewna sfera oczywistości, przede wszystkim moralnej. Świadome lub nieświadome jej zafałszowanie bywa stokroć groźniejsze w skutkach od pominięcia nawet części dokumentacji faktograficznej. Ocena w tej sferze, bez względu na przyjęte pozycje metodologiczne, bez względu na pełność dokumentacji — może być tylko jednoznaczna.

Coraz lepiej znajomy sobie dziś sprawę, jak bardzo zaciążyły również na ocenie okresu naszej walki z faszyzmem i na stosunku wobec jej b. uczestników — fałszerstwa rewolucji, ujawnione przez XX Zjazd KPZR. Wyjdźmy więc wreszcie z ich błędnego kręgu, przystępując do wymierzania sprawiedliwości naszej historii.

Uczono nas w ciągu dziesięciolecia operować paroma schematami terminologicznymi mającymi rzekomo wyjaśniać historię. Jeśli ktokolwiek przypuszcza, że za pomocą tych samych, schematycznych pojęć, inaczej, „słuszniej" zastosowanych, odnajdzie zagubione prawdy, niechaj lepiej pozostawi dotychczas egzemplifikowane z ich pomocą „prawdy" — jako obowiązujące wykładniki historycznej wiedzy.

ALE powróćmy do tematu. Gdyby przyszło mi w tej chwili udzielić odpowiedzi na pytanie, czy Armia Krajowa była w latach okupacji siłą służącą rewolucji, czy kontrrewolucji — odparłbym krótko, że pytanie zostało źle postawione. A przecież w granicach tej tylko alternatywy oceniane było praktycznie dotychczas całe zagadnienie,

Z powstania

może znacznie zaważyć na losach powstania.

Bury śmieje się i mówi:

— Patrzcie, znów zapowiadają się Termopile. Będziemy ginęli po kolei i pisali krwią na murze: — „PRZECHODNIU, IDŹ POWIEDZ WARSZAWIE, TU LEŻĄ JEJ SYNY, PRAWOM JEJ DO OSTATNIEJ POSŁUSZNI GODZINY"...

— Musisz chyba najpierw wybudować jakiś mur, bo nie wiem, czy znalazłbyś go na Starówce — wtrąca Mały Jędrek.

— Pleciecie bzdury — żachnął się Jurek X. — Robicie z siebie bohaterów. Kipniesz bracie, trawka na tobie wyrośnie i po wszystkim. Za parę lat zapomni się, żeś kiedykolwiek żył. Nie zdążysz nic napisać, bo dostaniesz serią RKm-u. Przyjdzie najwyżej kiedy twoja luba, spojrzy na rosnące na tobie pokrzywy i pójdzie sobie... szukać drugiego.

Chłopcy się śmieją. Wszyscy przeczuwają, że będzie dzisiaj „szaber". Wesołość ustępuje jednak szybko miejsca nastrojowi powagi, zatapiamy się w milczeniu. W pewnej chwili rozlega się głośny huk i piwnica napełnia się dławiącym kurzem i pyłem padającego tynku. Z góry sypie się gruz.

— Wszyscy wychodzić! — krzyczy Witold, zakrywając usta mokrą chusteczką przed okropnym kurzem. Wilgotne chusteczki przynoszą tylko niewielką ulgę. Po wyjściu rozglądam się szukając domu, w którego piwnicy siedzieliśmy. Dwupiętrowy dom padł pod serią bomb ze sztukasa, zawalając się do piwnic.

— Nie ma co, znów mieliśmy szczęście.

Przy rozwalonym murze stoi kpt. Jan i uśmiecha się.

— Przeniosłem się do was — mówi śmiejąc się — będzie mi trochę raźniej.

Ogień nie traci na gwałtowności. Były już dziś nawet dwa goliaty, ale jeden został spalony celnym strzałem z karabinu, drugi zaś wy-

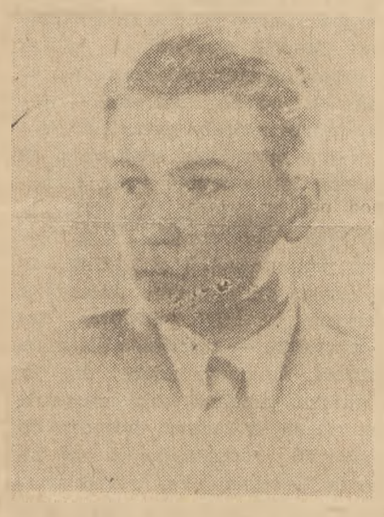

Sierż. pchor. „Bury" — Andrzej Ełędowski — lat 18, odznaczony Krzyżem Waleznych. Zginął 23.VIII.44 — Starówka.

buchł przed frontowym budynkiem. Parę minut przed bombardowaniem, kiedy byłem jeszcze w budynku, usłyszałem wystraszony głos obserwatora:

— Uwaga! Goliat idzie!...

Jędrek natychmiast kazał wszystkim opuścić budynek. Nawet obserwatorowi. Chłopcy z pośpiechem wychodzili na podwórze. Po kilku minutach ciszy, rosnący warkot motoru, zwiastujący zbliżanie się goliata i nagle znów cisza. Wszyscy zamierają w bezruchu. Po paru sekundach nad całym budynkiem wznosi się nagle wielki słup ognia i potężny wybuch wstrząsa okolicą. Budynek zapada się aż do piwnic. Obserwatorzy wracają na swoje stanowiska, częściowo uszkodzone wybuchem. Przecież walka nie skończona...

Po wyjściu z zawalonego schronu nie wchodzimy już do zabudowań. Stoimy oparci o mur chroniąc się przed padającymi gęsto pociskami z moździerzy. Nie lubię stać i patrzeć na padające pociski. Przyłączam się do kapitana wyruszającego na przegląd przedpola, mimo silnego ognia. Wolę już to, niż stanie na jednym miejscu.

Kapitan idzie przodem. Jest bez broni, bez frencza, w letniej koszuli. Grzeje słońce, jest przyjemnie, gorąco. Wchodzimy do kotłowni — kapitan machinalnie otwiera po kolei wszystkie szafki, jak gdyby czegoś szukał.

O godz. 16.05 ogień milknie. Z budynku wychodzi Andrzej Morro:

— Wychodźcie na stanowiska, bo Niemcy pewnie będą zaraz nacierać.

Pierwszy wysuwa się Mietek na czele swojej drużyny. Odchodzą zaledwie kilkanaście metrów, kiedy dostają serię z KM-u z lewej flanki. Przez gruzy szpitalnego kościoła, od którego bije żar palących się murów, przeskakuję pojedyńczo Niemcy. RKm — pruje bez przerwy osłaniając przeskakujących.

Alarm. Mietek rozwija swoją drużynę i rozpoczyna ogień, krzyk wydawanych rozkazów zlewa się z hukiem padających granatów.

Dobiegam do swojej drużyny, która wypoczywa pod murem po kilku nieprzespanych nocach.

— Trzech na ochotnika do dyspozycji kapitana. Reszta za mną!

Zgłaszają się Bury, Ursus i Jurek X. Prowadzę ich do kotłowni, gdzie został kapitan i gdzie rozwinę drużynę z kierunkiem na boczne wejście do kościoła, w którym są Niemcy. Kotłownia jest już w zasięgu niemieckich RKm-ów i granatów.

Skała z RKm-em usadawia się w warsztacie szewskim, skąd będzie miał wspaniały ostrzał flankowy na przeskakujących szkopów. Ledwie zajął stanowisko, już słyszę suchy trzask wypuszczanych przez niego serii. — Dobry celowniczy. Da im bobu.

Dobiegamy do kotłowni, ale od tyłu, gdyż wejście główne jest tuż koło Niemców. Chłopcy stają przy oknach, mierząc z karabinów. Mają dobry cel, bo Niemcy są o parę metrów od nas. Andrzej Bury przykłada karabin do oka i nie oddając strzału wali się martwy na ziemię. Z małej dziurki w głowie sączy się krew. Spoglądam na jego bladą, zastygłą w uśmiechu twarz. To mój ostatni przyjaciel.

Wzywa mnie kapitan. Wracam o kilka kroków od ciała Andrzeja, kierując się do sieni, w której stoi

Hcm. kpt. „A. Morro" — Andrzej Romacki — lat 21, Kaw. Virtuti Militari i 2 K. W. Absolwent Tajnego Uniwersytetu. Dca Komp. „Rudy". Zginął 15.IX.44. — Czerniaków.

kapitan. Obok mnie upada cicho małe, dymiące jajeczko.

— Kapitanie, granat!.. — zdążyłem jeszcze krzyknąć i obaj odskoczyliśmy w bok. Za późno. Wybuch zatrząsł na wpół rozbitą kotłownią. Zrobiło mi się dziwnie ciepło i przyjemnie. W uszach szum, głowa ciąży na dół. Zmęczonymi oczami szukam rany. Po spodniach płynie strużką krew. Z trudem się podnoszę. Kapitan krzyczy głośno, jakby chciał przekrzyczeć trzask KM-ów, żeby prędko iść do punktu, póki jeszcze można zrobić opatrunek. Próbuję biec. Boli. Po drodze napotykam Skałę... Jego RK-m nie strzela, bo Niemców nie widać. Krzyczę do niego.

— Skała, przenieś się za mur kotłowni! Oglądam się na bok i robię przepisowy skok przez otwartą przestrzeń pomiędzy kotłownią a kwaterą dowództwa. Nad głową przelatują pociski. Jeszcze parę kroków i dopadam drzwi. Otwierając je rzucam okiem w stronę kościoła, skąd przyszli Niemcy.

Ziemia trzęsie się od wybuchów, olbrzymia mgła dymu zasłania widnokrąg. Przed kościołem leży kilka postaci w śmiertelnym skurczu. Powykrzywiane, zmasakrowane twarze, brązowe panterki ochlapane krwią, hełmy powykręcane, obok bezładnie porozrzucana broń. To drużyna Mietka, która nie zdążyła zająć stanowisk i została przez Niemców całkowicie zniszczona.

W kwaterze ruch nie do opisania. Jęczą ranni. Sanitariuszki wynoszą ich z wielkim trudem, uginając się pod ciężarem noszy. Bieganina łączniczek z rozkazami i spokojny panujący nad wszystkim głos Andrzeja Morro, stojącego w oknie:

— Panie kapitanie, panie kapitanie, przeszkadza nam pan w prowadzeniu ognia... Proszę się wycofać!..

Podbiega do mnie Maryna. Za kilka minut opatrunek jest już nałożony. Ktoś podaje mi łyk czerwonego wina. Przywraca mi to dobre samopoczucie. Biorę swój pistolet maszynowy do ręki i kieruję się do drużyny. Spotyka mnie po drodze Morro:

— Nie wychodź stąd. Dałem już rozkaz wycofania się do tego budynku. Stań przy oknie i strzelaj, jeśli możesz. — Staję obok Signy, patrząc z niepokojem na przedpole. Przez otwarte okno widzę wycofujących się chłopców. Skała już po chwili zajął stanowisko w jednym z okien. Opieram lufę MP-i o framugę okna i posyłam kilka serii w kierunku Niemców. Naprzeciwko nas, na przedpolu w odległości kilku metrów leży na RKM-ie trup Mietka. Leży na plecach z kolanami podniesionymi do góry. Z lewej strony przy kościele widać w kałuży krwi Zbyszka z II-ej drużyny. Obok niego leży Kazik z poszarpanym żołądkiem. Wojtek Michał wycofuje się zabierając Mietkowi RKm. Przebiega pochylony przez podwórze, ale dosięga go seria RK-mu. Wtacza się wolno, ranny w rękę. Z kotłowni wybiega Drucik z wielkim krzykiem, trzymając się za zakrwawioną głowę. Ursus idzie wolno, nie zwracając wcale uwagi na przelatujące pociski. Dzielny chłopak! On nie nawala się wcale.

Niemcy zajęli już część budynku frontowego. Co chwila padają z hukiem granaty, co chwila padają nasi. Ze wszystkich okien strzelają teraz nasze peemy.

Kilku Niemców próbuje biec w naszym kierunku, trzymają granaty w rękach, lecz ścina ich krótka seria RKM-u Szymbora. Znów przeskakuje kilku odważnych. Znów wita ich RKm. Mały Jędrek stoi na przedpolu i pruje ze Schmeissera.

Napróżno Andrzej Morro krzyczy, by się wycofał razem z kapitanem. Teraz nie mogą tego zrobić, gdyż są odcięci ogniem przez Niemców, którzy zajęli część frontowego budynku. Niemcy znów rzucają granaty. Są zaledwie o parę metrów ode mnie.

Dużo nerwów kosztuje taka walka, kiedy nieprzyjaciel jest o kilka metrów. Lepiej by już było dopuścić do starcia wręcz. Na pewno pokazalibyśmy wtedy Niemcom, co potrafimy. Tymczasem w dalszym ciągu rzucają na nas lawinę ognia, biją z artylerii, moździerzy, a my siedzimy, czekamy i giniemy.

Strzelanina trwa już blisko godzinę, a może i więcej. Sytuacja nie ulega zmianie, poza tym, że Niemcom udało się dostać do frontowego budynku i umocnić się na gruzach zdobytego kościoła. Z budynku słychać kroki, krzyki, nawoływania. Wszystko wskazuje, że chcą stamtąd uderzyć na nas jeszcze raz, okrążając nas z czterech stron ścianami ognia.

Dolatuje nas złowrogi szczęk broni, jaki słyszeliśmy często na ulicach miasta. Teraz jest zupełnie taki sam. Te same głosy, ten sam krzyk, ten sam mundur. A może i ci sami Niemcy, którzy jeszcze przed miesiącem rozstrzeliwali bezbronnych...

Po chwili nabieramy pewności, że szykują się znów do natarcia: —

(Dokończenie na str. 7)

BARBARA GLUTH

Zaczarowanym szeregom...

(Tryptyk elegii)

I

Nie; nie kochałeś A. K.
Kochałeś myśl o powojennej pracy. O tym celu patetycznie dalekim
a serdecznie bliskim:
o nowej dziejów olimpiadzie

Kochałeś widzenie obmytej do czysta twarzy świata Nie pragnąłeś
więcej krwawych znaków na chuście Weroniki — łun pożarnych
w mgle tkanej wieczorem. Pamiętałeś jeszcze dni jesienne — pasmo
godzin bezprzytomnych między chłodem bagnetu a gorączką bandaża

Wierzyłeś — mija czas. Twoja wiara ślubowała przetrwanie...
I nadzieja w nas tańczyła w cieniu mieczów; osłonięta jedynie mgłą
przypadkowego ocalenia.
Nie; nie chciałeś kochać A. K.

II

A lasy już ożyły
i podeszły pod miasta.
Szło drzewo za drzewem, czerwono-znaczone
i martwym ciężarem waliło się na mury, krusząc
je, otwierając aż do wnętrza ziemi.
Nie; nie znałeś tej miłości śmiertelnej.
Ona kazała iść naprzód — jak zaczarowanym — szeregom.
A mało które drzewo kochało tylko A. K.
Nawet wtedy...
zbłąkaną kulą,
w niewyczutym urywku sekundy powalony —
nie zrozumiałeś...

Teraz błądzę samotnie po bezsennej nocy...
z otwartymi oczyma, z tęsknotą w gniazdach
żył. I nie mogę spojrzeć na ręce —
chociaż Twoja krew nie oskarża,
nie przynosi goryczy dławiącej — wdzięczności za
ocalenie...
Twoja krew nie zasycha,
nie użyźnia.
Twoja krew wsiąka w dłonie, w ziemię...
Krąży niezmiennym, tragicznym pytaniem —
D l a c z e g o?

III

Niekiedy myślę:
Cóż utraciłeś przez taką śmierć właśnie — nieoczekiwaną, bezwolną?
— *Że nie przesączyłeś się, kropla po kropli, przez palce godzin oczekiwania, strachu, odwagi, konania — że runąłeś od razu i cały w pełnię Rzeczy Ostatecznych?*
— *Że noce nie biły wokół Ciebie fontanną żaru w niebo dalekie?*
— *Że nad Twą siłą, mięśniami i mózgiem nie wionęła bezkrwista białość kapitulacji?*
— *Że nie dosięgły Cię, gdy minął czas ognia, zimne ręce Historycznej Kalkulacji — że nie wyrywały Cię z pamięci tych, którzy ocaleli?*
— *Że ginąłeś samotnie — nie zaklęty miłością SZEREGÓW,*
przeto śmierć Twą ominęła wzgarda?

Ilekroć tak myślę —
nie płaczę po Tobie.

nie tylko ludzi z AK

Odpowiedź, jakiej udzielano na to źle postawione zagadnienie, musiała być również fałszywa i musiała prowadzić do fałszywych wniosków praktycznych, w rezultacie krzywdzących i ludzi, i sprawę walki wyzwoleńczej z faszyzmem, i rewolucję. Tragiczna historia naszego narodu lat 1939 — 1945 przebiegała w atmosferze ogólnonarodowej walki z faszystowskim okupantem. Nieufność, czy — jak kto woli — antyradziecki kompleks w owych latach wynikał ze społecznych uwarunkowań części społeczeństwa, braku uświadomienia jego większości oraz następstw wieloletniej propagandy burżuazyjnego państwa przedwrześniowego. Nowe, potężne źródło kompleks ów znalazł w znanych nam wszystkim wydarzeniach 1939 roku. Określona ocena tych wydarzeń dokonywana obecnie przez obóz rewolucji nie zmieni w niczym ich realnego oddziaływania na opinię w owych latach. Tylko ludzie bez reszty oddani i ufający rewolucji zachować mogli w owczesnej sytuacji swoje poglądy.

Nastroje antyradzieckie wykorzystywała oczywiście dla swoich celów burżuazja. Ten negatywny kapitał nieufności miał procentować długo, choć zasadniczy zwrot w opinii nastąpił wraz z wybuchem wojny radziecko - niemieckiej.

Należy podkreślić, że większość społeczeństwa w okresie okupacji hitlerowskiej została zmuszona do spoglądania na bieg wydarzeń nie z perspektyw społecznej rewolucji, tylko przede wszystkim prawa do istnienia i narodowej niezawisłości. Czy można mówić, oceniając tę sytuację i stosując zasady historycznego myślenia, o winie ze strony ogromnej wówczas większości narodu? O winie ze strony ludzi, którzy przecież rewolucyjności nie wyssali z mlekiem matki, a jedynie mogli do niej dochodzić lub od niej odchodzić pod wpływem doświadczeń historii? Sądzę, że postulat historycznego myślenia nie uprawnia i nigdy do tego nie uprawniał.

Państwo rewolucji, uosabiające siły rewolucji, znalazło się ponownie we wspólnym obozie nieubłaganej, czynnej walki z hitlerowskim najeźdźcą i zaczęło odgrywać w tym obozie rolę dominującą. Ta sprawa była w owych latach kryterium decydującym. Obóz rewolucji stał się automatycznie obozem sojuszniczym, zaczął odzyskiwać sympatię w szerokich masach społeczeństwa, choć osad nieufności i ideologicznej rezerwy oczywiście pozostał. W coraz bardziej sprzecznych ocenach i postawach zaczęły dochodzić do głosu kryteria społecznych uwarunkowań ludzi. Nie miały one jednak charakteru zasadniczo różniącego opinie wobec rosnącego koszmaru okupacyjnej rzeczywistości, masowej eksterminacji, wobec zadań codziennej, wspólnej, ogólnonarodowej walki na śmierć i życie. Walki, która była podstawową wartością cementującą cały naród. Na ZSRR i wyrażaną przezeń ideologię, wyrażane przezeń siły — spoglądaliśmy w owych latach przede wszystkim przez pryzmat wspólnego, antyfaszystowskiego frontu. Bitwa stalingradzka stała się dla nas wydarzeniem o niesłychanie doniosłym znaczeniu. Przerażały nas komunikaty codzienne Oberkomando der Wehrmacht, podające liczby zniszczonych radzieckich czołgów, zabitych i wziętych do niewoli radzieckich żołnierzy. Sympatia i pomoc udzielana przez ludność spontanicznie jeńcom radzieckim wyrażała uczucia nie tyle nawet dla sprawy rewolucji — ile uczucia podstawowej, ludzkiej solidarności w walce z faszyzmem, jednako krzywdzącym i znienawidzonym w Kijowie i w Warszawie, jednako zbrodniczym na Mazowszu i na Białorusi.

Klęska i odwrót Niemców, triumfalny, coraz szybszy marsz armii radzieckiej ku granicom Polski zmienił proporcje w stosunku ludzi do ZSRR. Mniej interesowano się wówczas stosunkami pomiędzy rządami, formalną stroną zagadnienia, bardziej — realiami, jakie przynieść miały ze sobą zbliżające się wydarzenia. Te, nieznane jeszcze wówczas realia budziły niepokój nie tylko wśród klas wyzyskiwaczy.

Rozpoczął się straszny dramat podwójnie zawiedzionych ludzi antyfaszystowskiego podziemia. Ludzi, których lata wspólnej walki często pozbawiły społecznego kwantyfikatora. Ludzi, o których można powiedzieć, że utracili w znacznym stopniu swe społeczne uwarunkowania w śmiertelnych zmaganiach z faszyzmem. Przestali przynależeć do klas społecznych, przynależeli tylko do walczącego narodu. Wszelkie wartości społeczne podporządkowali jednej: prawu własności do wolności i prawu do życia dla umęczonego narodu. Mam tu, oczywiście, na myśli ludzi walczących, a nie politykujących w kawiarniach i handlujących sacharyną lub... obrazami. Ludzie, o których mówię, przestali interesować się sprawą stosunków własności, poglądów społecznych swych kolegów. Stali się bez reszty bojownikami sprawy wyzwolenia spod faszystowskiego panowania i — w tym sensie — rewolucjonistami. Jakże żywo przypominają się tamte lata, kiedy czyta się dziś o dramatycznych zmaganiach ludów Afryki Północnej z przemocą kolonizatorów. Analogia socjologiczna jest chyba pełna. Tylko tamte lata i tamta walka były jeszcze bardziej tragiczne.

Toczącej się w kraju podziemnej walce z faszyzmem, której sens był jednoznaczny dla samych walczących, i której obiektywne skutki były również jednoznaczne i odegrały swój określony wpływ na przebieg wojny — przypisywano różne funkcje polityczne. Ponieważ kierownictwo polityczne AK spoczywało w rękach delegatury londyńskiej, o określonym obliczu społeczno-politycznym, i ponieważ to kierownictwo nadawało piętno i firmę toczonej walce, siły rewolucji — chyba jednak dość pochopnie — ustosunkowały się do AK wyłącznie jako do antyrewolucyjnej siły burżuazji. Jak wyglądała ta ocena i wynikły z niej później stosunek do żołnierzy AK w świetle ich samookreślenia politycznego? Czy była to rzeczywiście świadomie kontrrewolucyjna siła? Odpowiedzieć na to pytanie można tylko tak, że nie była to z pewnością siła świadomie społecznie rewolucyjna, gdyż powstała i wyrosła nie z walki społecznej, tylko z jednoczącej cały naród walki narodowo-wyzwoleńczej. W szeregach AK walczono o wolność i niepodległość bliżej jeszcze nie określoną, odległą. W szeregach tych walczyli ludzie o najrozmaitszych poglądach. Większość z nich w ogóle nie zastanawiała się nad kształtem wolności, o którą toczyła się walka. W tej atmosferze również stosunek mas żołnierskich do sił rewolucji społecznej kształtował się nie przez pryzmat społecznych treści rewolucji, tylko politycznych poczynań i sił skupionych w PKWN. Ale w żadnym wypadku nie można byłoby powiedzieć, że w swej masie AK była świadomie i programowo kontrrewolucyjna, ani też, w żadnym wypadku, że obiektywnie kontrrewolucyjna była toczona przez nią walka. Określiłbym sytuację ideową, panującą w AK, jako nieufność wobec ZSRR i sił rewolucji, nieufność historycznie uwarunkowaną, ale — ze względu na wydarzenia lat 1941—1945 — połączoną z dobrą wolą i uczuciami nowej solidarności zrodzonej we wspólnej walce, choć toczyła się ona na różnych frontach. Nieufność ta była zarazem gotowością do samounicestwienia, do autolikwidacji w zetknięciu z rzeczywistością. To, że solidarność i poczucie sojuszniczej wspólnoty zrodzone w tym okresie, gdy walka toczyła się wspólnie na różnych frontach, rozpadać się zaczęły tragicznie w chwili, gdy front stał się wspólny, że znaczna jeszcze wówczas część żołnierzy i oddziałów AK znalazła się w najostrzejszym konflikcie z wkraczającymi oddziałami armii radzieckiej i polskiej rewolucji — było następstwem nie tylko polityki kierownictwa politycznego AK, nie tylko społecznego, klasowego uwarunkowania żołnierzy i znacznej części oficerów. Zakwalifikowanie podziemia akowskiego do klasy wrogów dokonało się niewątpliwie w ogniu rewolucyjnej walki, w której wsteczne koncepcje polityczne akowskiej góry zostały utożsamione z postawą tysięcy szeregowych żołnierzy AK. Owa generalizacja, jakkolwiek uwarunkowana napięciem rewolucji polskiej, okazała się niesłuszna, gdyż poderwała zaufanie do obozu rewolucji, skrzywdziła nie tylko żołnierza Armii Krajowej, ale również i sprawę samej rewolucji.

Zapewne z przyczyn natury społecznej automatycznie odpadłaby z szeregów AK część ludzi, przechodząc na pozycje wrogie rewolucji. Sądzę jednak, iż przygniatająca większość nie tylko żołnierzy, ale i oficerów podałaby rewolucji ręce i ogromnie wzmocniła jej siły. Niestety — na polityce samego obozu rewolucji ciążyły w owym okresie i beznadziejne koncepcje fatalizmu historycznego. Te koncepcje i wynikłe z nich praktyki zepchnęły poważną część b. żołnierzy Armii Krajowej na pozycje wrogie, a niemałą ich liczbę do antyludowego podziemia i tragicznej bratobójczej walki. Taka była w najogólniejszych zarysach wymowa historycznych wydarzeń. Chcąc więc dziś wymierzyć chcemy sprawiedliwość historii tych lat, przywrócić narodowi prawo do wspaniałych wartości, jakie wnieśli jego przedstawiciele walczący m.in. pod sztandarami Armii Krajowej z faszystowskim najeźdźcą — zrezygnować musimy przede wszystkim ze szkodliwego i dziś jeszcze schematu poznawczego. Nie każdy, kto nie był zdeklarowanym sojusznikiem, był wrogiem. Nie każdy, kto nie zrozumiał od razu, musiał nie zrozumieć nigdy. Myślenie w kategoriach historyzmu obowiązuje do stosowania metody dialektycznej, a nie tragicznej w skutkach metody fatalistycznej.

Jeśli chcemy dziś powrócić do historii lat 1939—1945, by ocenić ją na nowo i przywrócić narodowi prawo do tego, co było w tych latach prawdziwą wielkością, musimy zrezygnować ze wszelkich schematów i ogólników, musimy myśleć historycznie i konkretnie. Musimy wyjść z błędnego koła rozumowania, w którym wszystko, co nie było rewolucją, stawało się automatycznie kontrrewolucją. Ta metoda myślenia bowiem już raz zawołała do realnego życia wiele niemałe siły w linii rzeczywistej kontrrewolucji, na którą zostały one popchnięte. Konieczne jest w tym celu nowe spojrzenie i nowa aparatura terminologiczna oraz nowe kryteria oceny.

LISTY i AUTOPORTRET

KONRAD EBERHARDT

Janina Romanówna w roli Georges Sand

1

OBOK wielu istotnych różnic — jedną cechę „układony" pseudoklasyczny wiek XVIII pozostawił w spadku swemu romantycznemu następcy: obywatelstwo listu i wyznania w literaturze. Rodzaje te pełniły nieco inną funkcję, niż pamiętnik, czy wspomnienie. W zapiskach pamiętnikarskich chodzi raczej o utrwalenie zaistniałego faktu i to często na własny użytek — natomiast list lub wyznanie przekazują przede wszystkim wrażenia i oceny: przygody ludzkiej duszy i intelektu. Na ukształtowanie się essay'u jako rodzaju literackiego korespondencja i wyznania miały znaczny wpływ. Ale i ów oświecony wiek przedrewolucyjny, który wyhodował tę cudowną, wypieszczoną stylistycznie korespondencję, miał poprzedników w swej modzie na listy. W „Prowincjałkach" Pascala odnajdujemy świadome zastosowanie szablonu koresponcyjnego dla celów literackich i publicystycznych. Ówczesne hrabiny i księżne nawet listy do swoich przyjaciółek redagowały tak, aby w wypadku zebrania i wydania tych listów drukiem nie rumienić się przed znajomymi ze wstydu. Listy stały się niejako własnością ogółu — jeśli pod tym określeniem rozumiemy środowisko arystokratyczne. Wyznanie, publiczna spowiedź w salonie wobec elity, która zdolna była ocenić subtelność doznań i wykwint dowcipu, wyrosło niejako z owego korespondencyjnego ekshibicjonizmu — stało się po prostu jednym dużym listem adresowanym do słuchaczy. Pisząc swe znakomite „Wyznania" Jean-Jacques Rousseau świadomie modelował swój portret tak, jak uczone białogłowy w salonach czyniły to poprzez listy. Nie skąpił zresztą oskarżeń w stosunku do samego siebie (to też należało do dobrego tonu), rozwodził się nawet dłużej nad swoimi występkami niż zasługami. Ile jest pozy, ile jest s z t u k i w tym autoportrecie — trudno dziś dociec.

Romantyzm nie zaprzepaścił kultu literackiej spowiedzi dokonanej na gorąco, poprzez wyznania lub listy. Ową spowiedź jednak przyoblekł w woal innego klimatu, dostroił do niej inny gest. Miejsce spokojnej, wykwintnej relacji — zastąpił patos lub rozległa skala nastroju. „Wspomnienia" Georges Sand, noszące charakter typowych wyznań są wypracowaniem przeznaczonym dla potomności, autorka zadbała, aby sprezentować się w jej mniemaniu jak najlepiej, rozdziera często szaty, nie skąpi łez i patetycznego gestu. „Spowiedź dziecięcia wieku" Musseta jest szczytem artystycznym wyznania w epoce romantycznej. „Listy do matki" Słowackiego — największym osiągnięciem epistolografii, kto wie, czy nie jednym z największych arcydzieł tego gatunku, jakie zna literatura światowa.

Są jeszcze listy Chopina. Te dwa ogromne, wydane ostatnio tomiska pozostawiam celowo na koniec, nie znajduję dla nich miejsca pomiędzy pozycjami wymienionymi przed chwilą. Nie należą one do l i t e r a t u r y, jeśli miarą literackości będzie świadome lub na pół świadome organizowanie materiału rzeczowego według zasad sztuki: stylistyki, kompozycji, plastyki, opisu itd. jak znajdujemy to w listach do matki Słowackiego. Trudno dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, czy Słowacki rzeczywiście liczył się z myślą, że listy jego zostaną kiedykolwiek wydane, niemniej przygotowywał je według wszelkich zasad pisarskiego kunsztu. O Chopinie tego powiedzieć nie można. Listy jego nie noszą śladu żadnego, choćby najgłębiej ukrytego zamierzenia poza doraźną potrzebą przekazania wiadomości, polecenia, wreszcie bardzo zwięzłego opisania wydarzeń i przeżyć. Żadnej stylizacji upiększania, potrzeby spowiedzi itd. W porównaniu z listami Słowackiego a nawet innych artystów tej epoki jak chociażby Delacroix — korespondencja Chopina robi niekiedy wrażenie językowo i stylicznie niechlujnej. Jest pośpieszna, nerwowa nie brak w niej nawet potknięć ortograficznych czy nawet drobnych nieścisłości logicznych, które wydawcy wypunktowali dyskretnymi znakami wykrzyknienia w nawiasach. W porównaniu z zachowywanymi listami artystów swojej epoki — korespondencja Chopina wydaje się uboga. Początkowo, podczas pierwszego czytania listów wrażenie to niewątpliwie może się nasunąć. Ta cecha odstraszała zresztą wielbicieli genialnej muzyki Chopina. W zestawieniu z głębią muzyki — listy wydawały się po prostu trywiane. Zabrakło w nich chociażby najskromniejszego g e s t u, który przerzuciłby pomost między dziełem a człowiekiem wyłaniającym się z tych listów, niewielkiej chociażby stylizacji. Żądanie to wypływało z nieporozumienia: na jednej płaszczyźnie umieszczano język, jakim artysta przemawia w listach i nieprzetłumaczalny język jego sztuki, jak gdyby pomiędzy tymi dwiema sferami istniała jakaś prosta zależność. W istocie, to czego nie dopowiedział w listach — Chopin dopełniał wyznaniami w swojej muzyce, a ta wyniosła sztuka nie udostępniła nam dotąd szyfru, który pozwoliłby jej wypowiedzi odczytywać jednoznacznie. Nad listami Chopina zawisnął nastrój rozczarowania jego wielbicieli, opóźniający przez dziesiątki lat pełne ich wydanie.

2

DZIŚ dokonało się to nareszcie. I dzisiaj właśnie, kiedy od listu nikt nie wymaga, aby zamykał się w kunsztownych zwrotach, uwypukla się, w każdym razie dla mnie, zdumiewająca n o w o c z e s n o ś ć korespondencji Chopina. Właśnie w tej niechęci do pozy, do gestu, do nazbyt pochopnego odsłaniania wnętrza swej duszy Chopin jest niesłychanie współczesny w naszym rozumieniu tego terminu. Cały szereg jego listów, szczególnie te, pisane w języku francuskim mogłyby być napisane dzisiaj, chociaż właśnie dzisiaj odcinałyby się wytwornością stylu. To zdyscyplinowanie uczuciowe, zwięzłość, naturalność, niekiedy ironiczne zmrużenie oka, niekiedy dosadność w określeniu lub lapidarność sformułowania — czyni tę korespondencję bliską i zrozumiałą naszym pokoleniom. Zresztą, zdawałoby się, zdawkowa, oszczędna aż do przesady korespondencja w rzeczywistości przekazuje większą prawdę o Chopinie - człowieku niż jakakolwiek korespondencja okresu romantyzmu przekazywała o swoich twórcach. Na przykład Georges Sand, jedna z najciekawszych postaci tego okresu. Cóż wiemy o niej z jej własnych listów i wyznań? Tam jest zawsze tkliwą kochanką i szlachetną matką, kobietą patrzącą na życie z wyżyny ideału. Natomiast poprzez listy Chopina, w których trudno by się nawet dopatrzyć aluzji do łączącej ich więzi uczuciowej — postać ta odzyskuje niejako swój właściwy wymiar, z krainy szlachetnych księżniczek i wzniosłych idei schodzi na prozaiczną ziemię, na której nie obce jej są dosyć pospolite intrygi. O Słowackim - człowieku (a nie artyście) wiemy z jego listów właściwie niewiele, jego listy są zapisami duszy, opisem wrażeń, niejako zapleczem warsztatu, jakąś śpiżarnią genialnego poety. Daleko więcej powiedział mi o tej postaci jego osobisty raptularz, gdzie obok notatek o wcieleniach duchów znajdowały się wyliczenia giełdowe, haussy i bessy akcji kolei żelaznej. Tymczasem w listach Chopina jest do odnalezienia p r a w i e cały Chopin.

Prawie cały — bo właśnie o Chopinie - artyście dowiedzieć się z nich nie możemy wiele. Tutaj pozostaje nam sama muzyka. Swoją artystyczną kuchnię Chopin zamknął na cztery spusty, a klucze zabrał z sobą. Natomiast swój autoportret pozostawił nam w listach. I to autoportret powstały niemal wbrew woli jego twórcy! Listy Chopina mają jakby dwa piętra, lub jak kto woli — dwie warstwy. Pierwsza warstwa, to sam tekst, druga, to podtekst korespondencji Chopina. Pierwsza przynosi ogromną wiedzę rzeczową o wielkim artyście. Na przykład poprzez polecenia do przyjaciół poznajemy jego gust, zamiłowanie do wykwintu, potrzebę estetycznej oprawy swojej egzystencji. W podtekście możemy odczytać to, czego same listy dosłownie nie przynoszą. W nim kryje się dopowiedzenie i dopełnienie portretu Chopina, tam odkrywamy tonację uczuciową, klimat moralny, przeżywanie czasu, to, co się snuje pomiędzy wierszami.

Listy do przyjaciół przynoszą wiele sztubackiego dowcipu, swobody, humoru, szczególnie we wcześniejszych okresach. Listy do matki, ojca i sióstr — odkrywają kochającego gorąco i przywiązanego do rodzinnego domu syna. Słynne zapiski stuttgardzkie, ten jedyny prawdziwy wybuch wściekłej rozpaczy, wyrażają głębię jego patriotycznych uczuć. Ale jeśli chodzi o Chopina - kochanka, tutaj stop! Tutaj autor listów chowa się jak żółw w skorupę, stara się przekazywać jedynie suche fakty i informacje. Ale i z nich można wyczytać bardzo wiele. Wręcz przeciwnie Georges Sand. Ta usiłuje p r z e ż y w a ć podwójnie; jak damy ubiegłego stulecia — raz w rzeczywistości, drugi raz w opisie. Olbrzymi list Georges Sand do Wojciecha Grzymały z Nohant, czerwiec 1838 r. jest wielkim wyznaniem swego uczucia do Chopina nie pozbawionym nuty triumfu: „Jest to jedyny człowiek — pisze Georges Sand — który oddał mi się absolutnie i całkowicie, bez żalu o przeszłość, bez zastrzeżeń na przyszłość. Jest to przy tym natura tak dobra i tak mądra, że z czasem będę mogła doprowadzić do tego, by o wszystkim wiedział, by wszystko zrozumiał, jest to miękki wosk, na którym ja wycisnęłam swe piętno, a kiedy zechcę zmienić odbicie, przy pewnej ostrożności i cierpliwości zdołam to osiągnąć. Dziś jednak byłoby niemożliwe, a szczęście jego jest dla mnie święte".

Nic podobnego u Chopina. O tym prawdziwym, głębokim uczuciu wiemy przez te drobne, lecz jakże cenne i wymowne fakty: przed wyjazdem na Majorkę Chopin urządza jej paryskie mieszkanie, dobiera obicia i tapety, kupuje jej według własnego uznania materiały na suknie. Uczucie jego wyraża się wielką troskliwością i dbałością. Później w listach z Marsylii (tam zresztą przeżyli okres prawdziwie harmonijnego szczęścia) nazywa Georges Sand „moje anioły", pisze jak udaje się po zakupy do miasta zostawiając swą przyjaciółkę piszącą w łóżku nową powieść, jak później przygotowuje dla nich obojga czekoladę. Chopin jest rozbrajający w szczerości swego opisu, nie tai, że cieszy go ten związek i cała egzotyczna przygoda. Ale już w dwa lata potem listy Chopina do Georges Sand zmieniają tonację — ani śladu dawnej beztroski. Francuska pisarka nie miała racji, nie zdołała odcisnąć na tej duszy, rzekomo „miękkiej jak wosk" trwałego piętna. Uczucie wygasło. Wygasa również ten radosny ognik, jaki zapalił się na krótko w listach Chopina. Nie odnajdziemy go później.

Trzeba bowiem podkreślić wyjątkową zgodność korespondencji z jego życiem, listów i charakteru ich autora. Ta absolutna niechęć do wszelkiej dyplomacji, pozy, mistyfikacji jaki cechuje jego listy — cechowała i człowieka. Chopin traktował swoje życie poważnie i nie kłamał. Na próżno w jego listach byłoby szukać okrągłych, polerowanych zwrotów, które byłyby w stanie podtrzymać wygodne pozory, tak bliskie mentalności Francuzów. Listy Chopina obfitują w sformułowania proste, celne, ich wymowa na ogół jest jednoznaczna, nie pozostawia złudzeń. Kto wie, czy nie o to Georges Sand miała największą pretensję?

W swoim klasycznym dzisiaj dramacie „Lato w Nohant" Iwaszkiewicz wkłada w usta Chopina następujące słowa do Georges Sand: „Tak wiele rzeczy nas dzieli. Naprzód przepaść między dwoma tragicznie nie rozumiejącymi się narodami. Potem przepaść pomiędzy muzykiem a powieściopisarzem. A potem przepaść największa: kobiety i mężczyzny". Nie, nie, stanowczo wydaje mi się, że właśnie ta przeszkoda „środkowa" była największa. Georges Sand obdarzona bujną fantazją lubiła „wzbogacać rzeczywistość". Zgodziłaby się z pewnością na dobrze podany fałsz, na zręczny pozór wielkiego uczucia, aby dłużej pozostać w bliskim sobie klimacie. W swojej epoce mogła tego oczekiwać od wielkiego artysty. Ale Chopin tego nie dał: był jednoznaczny jak jego listy, był p r a w d z i w y.

Czesław Wołłejko (Chopin)

Na owym „drugim dnie" listów Chopina odnajdujemy nieuchwytny początkowo element — zmieniającą się wraz z biegiem lat tonację uczuciową, coś, co dałoby się wyrazić nie nowym bynajmniej określeniem „barwy czasu". W listach Chopina, jak w żadnych innych wyczuwa się upływ czasu. Porównajmy pierwsze listy z Paryża z korespondencją z przedostatniego, angielskiego okresu. Są zupełnie inne, bardziej niespokojne i zadumane równocześnie, więcej w nich gorzkiego humoru, są jakieś bardziej „artystyczne". Powiedzenia znajdujemy kapitalne! Uczestnicząc w biesiadach szkockiej arystokracji, a nie znając angielskiego Chopin zanotował: „Muszę p a t r z e ć jak mówią, a s ł u c h a ć jak piją". Opisując wspaniałości dworów dodaje: „Wszystko ukazało mi się tu w zdwojonym blasku oprócz słońca". A równocześnie w listach z Anglii znajdujemy więcej rozlewności i poetyckości, jakby oddech zbliżającej się śmierci wyzwolił uczucie zawsze wstydliwie spychane na ostatni plan.

„...Tutaj właśnie, nad pokojem, który zajmuję, John Knox, reformator szkocki, pierwszy raz rozdawał komunię. Wszystko to przemawia do wyobraźni — park z prastarymi drzewami, przepaści, ruiny starożytnych zamczysk, korytarze bez końca z niezliczonymi portretami antenatów, jest nawet jakaś czerwona czapeczka, która przechadza się o północy. A ja się tam przechadzam z moją niepewnością". Stąd już powiało romantyzmem... i literaturą.

A jednak stara się zdławić ogarniającą go chęć zwierzeń, swój lęk przed zbliżającym się kresem. Ironizuje na temat swego stanu, sądy o swojej chorobie wygłasza z gorzkim humorem. Na przypuszczenia przyjaciół, że w Anglii się ożeni, odpowiada: „Mogę w szpitalu zdechnąć, ale żony po sobie bez chleba nie zostawię..." To bardzo bliski Chopinowi tok myślowy.

3

MÓWIĄC o Chopinie widzianym poprzez listy nie można już pominąć sztuki, która zrosła się dla nas z tą postacią: wspominanego już „Lata w Nohant". Zbiegło się zresztą bardzo szczęśliwie: na półkach księgarskich znalazły się Listy Chopina, a na scenie Teatru Kameralnego — sztuka Iwaszkiewicza. Po lekturze korespondencji można udać cię do teatru i skonfrontować swoje wyobrażenia z wizją dramatyczną autora i reżysera.

Ale jeżeli mam żal do tej doskonale napisanej, prawdziwie europejskiej sztuki — to przede wszystkim za to, że konfrontacja ta musi być — z woli autora — tak częściowa, tak niepełna, co prawda Iwaszkiewicz i tak odszedł od niemiłej maniery pisania sztuk o wielkich ludziach, w których nie ukazują się oni na scenie. Tutaj pojawia się na dłużej w ostatnim akcie. Ale Chopin niezależnie od swojej genialnej muzyki naprawdę nie nadaje się nawet do tak „oszczędnego" traktowania. Z listów wyłania się człowiek dowcipny, żywy, inteligentny, towarzyski, którego tzw. „drobiazgi" obchodziły nie mniej niż tzw. „rzeczy wielkie". Krytycy rozwodzili się niegdyś nad ową kłótnią o pulardę, w którą Iwaszkiewicz odważnie wplątał swego bohatera. Z listów wynika, że Chopin kłócił się o właściwy fason kapelusza, rękawiczki, obchodził go kolor firanek, dawał sobie świetnie radę ze służbą. Dlaczegóż nie moglibyśmy ujrzeć tego na scenie! W „Lecie w Nohant" Chopin odbywa decydującą rozmowę z Georges Sand, rozmowę niejako „programową" *clou* całej sztuki — po czym żegna się i odjeżdża. Istotnie, zbyt wielu liści nie traci ze swego laurowego wieńca. Pozostaje w sztuce „bohaterem przez ścianę", obecnym swoją muzyką, *spiritus movens* wydarzeń rozgrywających się w sąsiednim salonie. To może wiele, mnie się jednak wydaje, że nieco za mało.

Środowisko dworu w Nohant nakreślone zostało przez Iwaszkiewicza z wyjątkową drapieżnością. Z Georges Sand spadają efektownie udrapowane szaty, w jakie się przyoblekła dla swoich współczesnych i potomnych: pozostaje niesyta wrażeń kobieta o usposobieniu kapryśnym, nie cofająca się przed intrygą dla realizacji swoich zamierzeń. I dzieciom ofiarowała wiele cech swojego charakteru. Z Solange wydobyć można interesujące m o m e n t y, ale jakże łatwo jej podziw dla muzyki Chopina wyrazić tak, jak to w przedstawieniu warszawskim zrobiła Justyna Kreczmarowa — jakimś barbarzyńskim niemal zachwytem dla sztuki! Ze środowiska w Nohant łatwo zrobić małą dostojewszczyznę, gniazdo wzajemnie kąsających się zwierzątek. I tego również przedstawienie w teatrze Kameralnym nie uniknęło. Ale gdyby reżyser włożył najwięcej nawet wysiłku — pozostanie dla mnie faktem, że powtarzająca się za drzwiami, genialna fraza muzyczna nie ma się w żadnym stosunku do wydarzeń rozgrywających się na scenie. Może najwyżej drażnić swoją nieustannością. Nie jest żadną odpowiedzią ani przeciwstawieniem. Pozostaje wielka, daleka, nieznana jak ów „słup drżącego powietrza wiodący w niebo" według określenia Rilkego. Natomiast skłócony, przyziemny światek dworku w Nohant przytłoczył dramat Chopina — człowieka, zagubionego wśród ludzi obcych mu psychicznie, pojmujących inaczej życie i stosunki międzyludzkie niż on. Tego jedna, chociażby zasadnicza rozmowa z Georges Sand nie załatwi. To dopiero prawdziwy materiał dramatyczny na sztukę.

Poprzez korespondencję i n n o ś ć psychologiczna Chopina w zestawieniu z Georges Sand i jej środowiskiem wyrasta w całej pełni. Chopinowi obce są fałsz, wszelkie matactwa, gra próżności, pozorów, ambicji — atmosfera, którą Francuzi tworzą zupełnie świadomie i którą oddychają z przyjemnością. Chopin ma prosty, rzetelny, uczciwy stosunek do życia. Konflikt musiał przebiegać na tej płaszczyźnie. Wprowadzenie wielkiej sonaty h-moll jako drugiego bohatera w krąg światka w Nohant wydaje mi się ryzykowne. Cóż ona ma z nimi wspólnego? Wyrosła z jakichś innych, nieznanych pobudek twórczych — czeka ją nieśmiertelność. To wspaniałe środkowe largo, które rozbrzmiewa w finale sztuki elektryzuje, lecz równocześnie mija zgromadzonych ludzi. Czy przemawia do nich? Czy dla widzów zdolna jest zastąpić starcie Chopina-człowieka, niewątpliwego Polaka z tamtymi ludźmi? Oto wątpliwości.

Niemniej dzisiaj po pełnym wydaniu listów ta dy. ja staje się możliwa. Chopin ożył w jakimś innym wymiarze. Jest między nami. Dzięki tej aż do przesady oszczędnej korespondencji dowiadujemy się o wielu drobnych sprawach, jakie go zażycia dotyczyły, ale czasem prawie niedostrzegalnie pęka ta szczelna skorupa zewnętrzności i poprzez te szczeliny widać otchłań, w której narodziła się nieporównana z niczym, tragiczna muzyka Chopina, „niedośpiewany mit o ludzkiej duszy".

Fot. Fr. Myszkowski

Aleksander Żabczyński (Antoni Wodziński) i Czesław Wołłejko (Chopin).

PIEKŁO I ZIEMIA

(Dokończenie ze str. 3)

dzo zresztą osobliwy sposób, rzeczywiście kochał, i dlatego pragnie pozyskać dla siebie przychylność jej brata. Pomiędzy tymi dwoma ludźmi, którzy po raz pierwszy widzą się na oczy, wywiązuje się jednak z miejsca rozmowa na zupełnie inny temat, rozmowa będąca jakby dalszym ciągiem, a zarazem rozbiorem dopiero co przerwanego koszmarnego snu. Raskolnikow wie, że Swidrygajłowa podejrzewają o zamordowanie Marfy Pietrowny, wie również, iż jest on faktycznym winowajcą samobójczej śmierci służącego Filipa. I oto teraz dręczony wyrzutami sumienia zabójca starej lichwiarki dowiaduje się, że niekoniecznie trzeba być Napoleonem, aby czuć się w prawie do swobodnego rozrządzania życiem swych bliźnich. Wystarczy na to być Swidrygajłowem. I czy koniecznie trzeba zabijając człowieka, również „zabijać zasadę", wyzywać kosmiczne potęgi? Ależ skądże! Można zabić po prostu dlatego, że jest jakoś za ciasno, niewygodnie, kiedy ten ktoś drugi stale kręci się koło nas. A czy po takim zabójstwie lub też w okresie psychicznego przygotowywania się na jego popełnienie trzeba narzucić sobie, wmówić w siebie, zasugerować swojemu świadomemu myśleniu bezwzględny i absolutny ateizm, jak to robi Raskolnikow, którego jednak demaskuje senny koszmar, świadczący, że zbrodnię na Alonie Iwanownie przeżywa on w kategoriach chrześcijańskiej świadomości moralnej i religijnej? Nie, po cóż ateizm? Po cóż materializm? Świat nie pozbawiony dalszego ciągu, nie pozbawiony ciemnego tła sfery granicznej między nim a zaświatem, nawiedzanej przez duchy, demony, strzygi, wilkołaki, zmory, jest przecież światem daleko ciekawszym i bogatszym estetycznie. „— (...) Ale, ale... pan wierzy w duchy?

— W jakie znów duchy?

— W zwyczajne: jak to „w jakie!".

— A pan wierzy?

— Hm, może i nie, pour vous plaire... Właściwie, niezupełnie nie...

— Ukazują się panu?

Swidrygajłow spojrzał na niego jakoś dziwnie.

— Marfa Pietrowna jest tak łaskawa, że mnie nawiedza".

Tak, właściwie dlaczego nie miałyby istnieć duchy? Dlaczego nie miałyby nas nawiedzać? Bywa to czasem przykre i uciążliwe? Wszystko na świecie może stać się przykre i uciążliwe, jeżeli powtarza się zbyt często. Można jednak w takim wypadku spróbować przemówić do rozsądku nawet duchowi: „Że też ci się chce, Marfo, trudzić do mnie o takie głupstwa" (chodzi konkretnie o zjawienie się Marfy Pietrowny w celu zaprezentowania wdowcowi po sobie nowej jedwabnej sukni). Jakie znaczenie jednak mogłoby posiadać ukazywanie się tego rodzaju zjaw? Czego by one nas uczyły? Co nam zwiastowały? Tu jednak, odpowiadając pytaniem na pytanie, rzec można: czy zjawianie się duchów musi posiadać koniecznie jakiś sens moralny, niczym „budująca" bajeczka dla dzieci? Czy duchy nie mogą schodzić na ziemię po prostu „tak sobie", np. dlatego, że szukają jakiejś rozrywki w monotonii zaświatowego bytowania?

— „Wieczność zawsze nam się przedstawia jako idea, której nie podobna pojąć, jako coś olbrzymiego, olbrzymiego! A czemuż koniecznie olbrzymiego? Proszę sobie wyobrazić, że raptem zamiast tego wszystkiego, będzie tam jedna izdebka, coś jak wiejska łaźnia, zakopcona, a we wszystkich kątach — pająki; i oto masz pan całą wieczność. Mnie się to czasem przywiduje, wie pan".

„I czyż naprawdę, naprawdę nie wyobraża pan sobie, czegoś bardziej pocieszającego, sprawiedliwszego?" — woła Raskolnikow. A Swidrygajłow odpowiada mu spokojnie: Sprawiedliwszego? A skądże wiemy? może właśnie to jest sprawiedliwość...". Odpowiedź ta „przejęła Raskolnikowa nagłym zimnem".

Straszliwa jest świadomość potępienia, jaką przeżył on niedawno w swoim śnie; bardziej jednak przerażająca jest myśl, że może istnieć absurdalna wieczność, nie będąca niczym więcej niż prostym przedłużeniem w nieskończoność absurdalnej doczesności. Takim właśnie piekłem będzie straszył paryskiego snoba Sartre. Dla Raskolnikowa ta możliwość jest okropniejsza niż wszystkie inne. Kiedy mówi do Razumichina o Swidrygajłowie: „Nie wiem czemu, ale ja się tego człowieka boję", to wśród wszystkich przyczyn owego lęku, wzajemnie na siebie zachodzących i potęgujących się wskutek tego, niepoślednią rolę gra obawa przed tym, co może być objawem choroby umysłowej, ale co w przeżywanym przez Raskolnikowa stanie ducha może być również potraktowane jako najzupełniej konkretna pokusa diabelska, wzbudzająca trwogę o charakterze zgoła mistycznym.

Nie, nie ma pozy ani przesady w tym, co mówi Raskolnikow do Soni wyznawszy jej swoją zbrodnię: „Gdybym tylko zabił z głodu (...) to byłbym teraz... s z c z ę ś l i w y!". Zabójstwo z głodu nie kojarzy się bowiem z „zabijaniem zasady"; jest ono — wracając do terminologii Kierkegaarda — winą skończoną, możliwą do zmazania przez poddanie się sprawiedliwości kodeksów karnych. Więcej! — głód, zawiniony przecież przez bliźnich, zmniejsza poważnie moralną winę zabójcy, jego grzechem obciąża godzące się na niesprawiedliwy podział dóbr społeczeństwo. Nie żadna też niegzułość sumienia każe mówić Raskolnikowowi: „Biedna Lizawieta! po co się nawinęła? To jednak dziwne: czemu prawie nie myślę o niej, jakbym jej w ogóle nie zabił?". Z pozoru dziwne, bo przecież Lizawieta była człowiekiem wartościowym, określenie zaś Alony Iwanowny jako bezużytecznej, plugawej, szkodliwej wszy, choć określeniem tym posługuje się Raskolnikow, aby zmniejszyć choć nieco rozmiar swojej winy, nie jest pozbawione podstaw i sensu. Rzecz w tym, że właśnie zabicie lichwiarki zostało pomyślane jako „zabicie zasady". Mord na Lizawiecie był już tylko nieuniknionym następstwem tamtego mordu, w pewnym sensie po prostu samoobroną zaskoczonego na gorącym uczynku zbrodniarza.

Raskolnikow jasno uświadamia sobie charakter swej zbrodni. Dobrze widzi, co w niej było istotną winą, a co tylko mechanicznym wykonaniem podjętej decyzji, czy też konsekwencją stworzonej przez dokonane już zabójstwo sytuacji. Choć zabrzmi to dziwacznie i okrutnie, możemy przecież powiedzieć, że jego reakcje psychiczne jako mordercy przebiegają całkiem prawidłowo. Nagłą w nich komplikację wywołuje rozmowa ze Swidrygajłowem. W świecie pozbawionym sensu nie ma znaczenia ani zbrodnia, ani też przeżywana przez zbrodniarza po jej popełnieniu męka. Na cóż zda się próba „zabijania zasad", skoro wszelkie zasady są w gruncie rzeczy banialuką?

Narastające zwątpienie skruszy wreszcie opór Raskolnikowa, zmusi go do wyznania swej zbrodni — najpierw wobec Soni, a później w biurze policji. I to jest mimowolna przysługa, którą oddaje mu Swidrygajłow, działający w tym wypadku jako cząstka owej siły, co zawsze chce zła, a tworzy dobro. Wartości tej przysługi nie umniejsza nawet fakt, że przyznanie się Raskolnikowa do zbrodni jest nie wynikiem zwycięstwa nad sobą, ale przeciwnie — załamania się.

V

RÓWNIE osobliwą jak Swidrygajłow rolę odgrywa w dramacie Raskolnikowa Porfiry Pietrowicz, tym osobliwszą, że z urzędu prowadzi on śledztwo w sprawie zabójstwa Alony Iwanowny. Nie wiem, czy Kafka pisząc „Proces" miał za sobą lekturę „Zbrodni i kary" i nie o jakiekolwiek wpływologiczne dociekania chodzi mi w tym wypadku. Interesuje mnie zbieżność sposobu przedstawiania przebiegu śledztwa w powieści Dostojewskiego i procesu Józefa K. u Kafki. Przy czytaniu obu tych książek ulegamy początkowo złudzeniu, że obaj autorowie pragną ośmieszyć istniejące w ich krajach sądownictwo. Biurokratyzm, rutyniarstwo, głupota, nadęta pewność siebie charakteryzują przedstawicieli służby bezpieczeństwa i wymiaru sprawiedliwości występujących w „Zbrodni i karze" i „Procesie". Wkrótce jednak zaczynamy się orientować, że przecież w gruncie rzeczy nie to jest ważne, że ta zewnętrzna fasada, jakby żywcem przeniesiona do obu tych wielkich dzieł z satyry operującej elementami groteski i farsowej zgoła karykatury, to tylko łudzący pozór, za którym ukryła się groźna i jak najbardziej poważna treść. W „Procesie" — mimo bardzo konsekwentnego przestrzegania przez Kafkę p o z o r ó w realistycznej konwencji przedstawieniowej — metaforyczny, a nawet zgoła alegoryczny charakter całej z e w n ę t r z n e j warstwy dziejów Józefa K. staje się rychło najzupełniej oczywisty nawet dla mało wyrobionego i koncentrującego uwagę wyłącznie na fabule czytelnika. Z przekazanej przez Maksa Broda wypowiedzi Kafki wiemy, że proces przedstawiony w tej książce traktował on jako *in idea* nieskończony. I rzeczywiście tak jest. Choć Józef K. n a p o z ó r załatwia sprawy banku, którego jest prokurentem, choć w godzinach wolnych od pracy kręci się po biurach upiornego sądu i mieszkaniach ludzi, którzy jego zdaniem mogliby mu coś pomóc, to w r z e c z y w i s t o ś c i, ubrany w najlepszy czarny żakiet, „który swoim krojem zwracał uwagę wśród znajomych", z albumem osobliwości rodzinnego miasta pod pachą, zasiada na zie-

mi kraju Uz wespół z mężem pobożnym Hiobem i trzema jego przyjaciółmi, co „usłyszawszy wszystko złe, które nań przypadło, (...) pospołu przyszedłszy nawiedzili go i cieszyli". Mimo zachowania zewnętrznego wyglądu powieści „Proces" jest wielkim alegorycznym poematem metafizyczno - religijnym, „Zbrodnia i kara" zaś — mimo grającej w niej bardzo istotną rolę problematyki filozoficzno - religijnej — powieścią realistyczną. Na tym polega zasadnicza różnica między tymi dwiema książkami. W obu jednak za groteską pozoru, natrętnie rzucającą się w oczy każdemu, kto potrafi dostrzegać nie tylko zewnętrzną warstwę zdarzeń i rzeczy, działa to samo Prawo, dawniejsze niż ziemia i gwiazdy.

— „Wstań! (Chwyciła go za ramię; podniósł się spozierając na nią ze zdumieniem). Idź zaraz, w tej chwili, stań na rozdrożu, pokłoń się najpierw, pocałuj ziemię, którą splugawiłeś, potem się pokłoń całemu światu, na wszystkie cztery strony, i powiedz wszystkim, głośno: „To ja zamordowałem!". Wtedy Pan Bóg znowu ześle ci życie". Kiedy, rosnąc nagle w naszych oczach, tonem starotestamentowej prorokini rzuca Sonia ten r o z k a z Raskolnikowowi, nie dziwimy się bardzo. Wiemy, że ona, głęboko religijna i mimo swego przez okoliczności narzuconego trybu życia wewnętrznie czysta, m a p r a w o tak przemawiać. Rozumiemy też, że dla niej kwestia, wobec kogo złoży swoje wyznanie Raskolnikow i jakie stąd wynikną następstwa natury prawnej — nie ma w ogóle znaczenia. Dla niej ważny jest już nawet nie moralny lecz integralnie religijny aspekt tego faktu. Samooskarżenie wyrażające jak najgłębszą pokorę i skruchę jest w jej oczach już samo przez się aktem pojednania się z Bogiem. „Wiedy Pan Bóg znowu ześle ci życie". A ludzkie prawo? Cóż na nim zależy? Niech działa ono według swych norm i formuł. My powierzmy sprawę swoją Temu, o którym powiada Psalmista: „Czyniący miłosierdzie Pan".

Nie zaskakuje nas taki tok rozumowania u Soni, zaskakuje natomiast u Porfirego. Nie w interesie śledztwa chce on skłonić Raskolnikowa do przyznania się. Jego poczynania jako reprezentanta wymiaru sprawiedliwości wydają się zgoła groteskowe i chimeryczne. Zrazu ulegamy złudzeniu, że Porfiry to po prostu sprytny głupiec, usiłujący metodą bluffu i psychologicznych pułapek, w których rolę przynęty ma grać udana dobroduszność i udana życzliwość, wyciągać z podejrzanych ważne zeznania. Jego pułapki wydają się nam niezgrabne, jego bluff naiwnie prostacki i natrętny. Równocześnie jednak świta myśl (i nam, i bohaterowi powieści), że ta niezgrabność i naiwność jest u m y s l n i e podkreślana, że Porfiry jest inteligentniejszy, niż się nam początkowo zdawało. Inteligentniejszy, ale także bardziej obłudny, chytry i okrutny. Raskolnikow chwilami ma wrażenie, że Porfiry bawi się z nim jak kot z myszą. Aż wreszcie przychodzi scena ostatniego spotkania Porfirego z Raskolnikowem i spoza przypominającej procedurę postępowania sądowego w „Procesie" farsy śledztwa wychyla się sprawa inna — daleko głębsza i bardziej zasadnicza. W rozwoju wewnętrznej akcji „Zbrodni i kary", akcji problematów a nie zdarzeń, scena ta posiada znaczenie takie samo jak scena rozmowy Józefa K. z kapelanem więziennym w „Procesie". I w jednym, i drugim wypadku nazwane zostaje wreszcie po imieniu to najważniejsze, co dotychczas pozostawało w mroku: „Ha, cóż, cierpienie to także rzecz dobra. Pocierp. Może Mikołka ma rację, że pragnie cierpienia. Wiem, o wiarę trudno, ale nie mędrkuj pan zawile; oddaj się życiu wprost, bez rezonerstwa; nie bój się: ono samo wyniesie cię na brzeg i postawi na nogi. Na jaki brzeg? Skądże mam wiedzieć (...) Miej wielkie serce i mniej się lękaj. Stchórzyłeś, że trzeba będzie spełnić wielką ofiarę? Nie, tutaj wstyd tchórzyć. Skoro już uczyniłeś taki krok, to weź się w garść. Tu już sprawiedliwość. Więc spełnij to, czego żąda sprawiedliwość. Wiem, że nie wierzysz, ale doprawdy życie cię wydźwignie. Kiedyś sam to sobie upodobasz. Teraz tylko powietrza ci trzeba, powietrza, powietrza!".

Okazuje się, że Porfiremu idzie nie tylko o zamknięcie dochodzeń śledczych aresztowaniem winowajcy. Tak jak kapelan z powieści Kafki chce on ratować człowieka, który znalazł się w niebezpieczeństwie, chce przez dokładne przedstawienie rzeczywistego stanu rzeczy skłonić swego rozmówcę do wyboru właściwej drogi postępowania. „Bez nas nie możesz się obejść", mówi Porfiry do Raskolnikowa. Oczywiście, nie „bez nas" jako przedstawicieli prawa państwowego, fachowców od układania aktu oskarżenia i zbierania dowodów rzeczowych na jego poparcie, ale „bez nas" jako bez czynnika dobrowolnej, świadomie podjętej ekspiacji. „Tobie się nie godzi bać się ani wstydzić skruchy", bo właśnie skrucha jest w tym wypadku decydująca. „Najpierw pocałuj ziemię, którą splugawiłeś, potem się pokłoń całemu światu, na wszystkie cztery strony" — nakazuje Raskolnikowowi Sonia. Tego samego domaga się w gruncie rzeczy również Porfiry, choć przemawia językiem intelektualnej perswazji a nie religijnej egzaltacji.

W trylogii Tomasza Manna „Joseph und seine Brüder" bohaterowie są zarazem sobą i swymi legendarnymi protoplastami. Abraham, pradziad Józefa, jest więc i rzeczywistym Abrahamem, którego dobrze jeszcze pamiętają starzy ludzie, ale jest on zarazem jakimś mitycznym pra-Abrahamem, którego wędrówki po krajach Azji Przedniej pozostają w tajemniczym osobliwym związku z drogami księżyca po niebiosach i z miejscami kultu księżycowego boga Sin, aż wreszcie w mitologii plemienia obie te postacie stapiają się w jedną, łączącą w sobie realne człowieczeństwo z cechami jakiegoś półboga czy górującego nad swoim otoczeniem „męża Bożego". Podobną dwoistość nadaje Dostojewski postaciom Swidrygajłowa i Porfirego, będąc w położeniu o tyle trudniejszym od Manna, że akcja jego powieści toczy się nie w zamierzchłych prawiekach, kiedy poznanie splatało się beztrosko z fantazjowaniem, a historia z mitem. Dwoistość jego bohaterów musi być ujawniona przez sytuację nie wyłamujące się z ram realistycznej konwencji przedstawieniowej — i rzeczywiście, jak to widzieliśmy na przykładzie sceny zjawienia się Swidrygajłowa u Raskolnikowa, z ram tych się nie wyłamuje. Wielki realista zdołał wydobyć z realistycznego opisu świata immanentny symbolizm rzeczy i zjawisk, ukazać ich wieloznaczeniowość przy zachowaniu ich tożsamości. (Wieloznaczeniowość to współistnienie w metaforze, obrazie, sytuacji, postaci — paru jasnych i odrębnych znaczeń, jak np. we wspomnianym wyżej wypadku Mannowskiego Abrahama czy w wypadku Swidrygajłowa, który jest zarazem jak najbardziej niezaprzeczalnie sobą a jednocześnie kuszącym Raskolnikowa demonem. Wieloznaczność powstaje tam, gdzie różne aluzje znaczeniowe krzyżują się i zachodzą na siebie nie krystalizując się w żadne określone znaczenia).

Stefan Lichański

(Dokończenie w nast. numerze)

Na wsi

(Dokończenie ze str. 1)

zjeść potem mogli. Problem żywienia przesłania wszystko, wydaje się, że rozwiąże wszystkie kłopoty. Jak bydło mieszka? Wiadomo — jak bydło. Nie przywykliśmy nad tym się zastanawiać, łączyć spraw hodowli z pomieszczeniami, zwracać uwagi na tę stronę „warunków bytowych" zwierząt. Tyle setek lat — i żyją.

Reporter myślał podobnie. Podobały mu się te przestronne, jasne obory widziane w kinie. Cieszył się, że ludziom stwarza się dobre warunki pracy: że wygodniej im oczyścić krowę, łatwiej zadać paszy, utrzymać czystość chroniącą mleko przed bakteriami. Ale czy to takie istotne dla mleka, czy będzie go więcej, jeśli spłynie do bańki w czystej oborze — o tym poważnie nie myślał.

Architekci sami wiedzą niewiele, ale ich uwagi rysują pierwszy ślad. Po powrocie szuka dalej. Jedna ze ścieżek prowadzi do stenogramu z zeszłorocznej narady poświęconej budownictwu wiejskiemu. Czyta w nim o budynkach spółdzielni w Łazowie:

„Obory i chlewnie wyglądają jak lodownie. Piwnicę zrobiono pod paszarnią i ciągle w tej piwnicy stoi woda. W jednej oborze w miejscu, gdzie ma być wyjazd, w środku drzwi stoi słup. Ścieki są tak zrobione, że tylko szczury się w nich kocą. Kanaliki są wąskie i gnojówkę trzeba wiadrem wylewać. Żłoby są takie, że krowy stoją przy nich jak „na pokucie"".

Redaguje Zespół
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 tel 8-60-11 (15)) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W wa Marszałkowska 3/5
Zam. nr. 734.
B-7-24260

Na uboczu w polu — samotne domki PGR-u... Fot. Z. Grzybowski

Czyta te słowa i wyobraża sobie, jak przewodniczący spółdzielni mówiąc musiał walić pięścią w stół. Nie był w Łazowie. Słyszał, że teraz projekty są już lepsze. Ale wie, że chłopi z którymi rozmawiał, wysuwali jeszcze wiele zastrzeżeń.

Czyta dalej:

„... padło na grypę 220 prosiąt pomimo troskliwej pielęgnacji ze strony miejscowego personelu i mimo intensywnego leczenia przy użyciu najnowocześniejszych środków lecznictwa. Równocześnie zlikwidowano w tej chlewni 35 licencjonowanych pięknych macior. Reszta przeniesiona potem z tej chlewni dla celów doświadczalnych do letniskowych pomieszczeń w lesie okazała się roznosicielami wirusa grypy. Na tym jednym przykładzie widzimy, jak jeden PGR w ciągu jednego roku na skutek nieodpowiednich pomieszczeń poniósł straty w hodowli świń na około 110 tysięcy złotych".

To mówi fachowiec weterynarz. Takie liczby zastanawiają.

Reporter szuka więc ludzi, którzy coś wiedzą, którzy prowadzą badania, szpera w książkach i pismach. Szuka długo, zaczyna rozumieć architektów i ich błędy. Problem wpływu pomieszczenia na zwierzę okazuje się prawie nieznany u nas, brak źródeł, brak fachowców.

Chwyta fragmenty: dowiaduje się, że zootechnicy mówią o wypadkach jednostronnego (!) zapalenia płuc u zwierząt chowanych w pomieszczeniach, od których ścian „ciągnie" zimno, że 20% różnicy wilgotności powietrza w budynku może dwukrotnie zwiększyć bezpłodność; czyta o doświadczeniach niemieckich stwierdzających, że podniesienie temperatury w chlewni do 28 stopni obniża dzienny przyrost wagi u świni o 200—250 gramów, o fatalnym wpływie złej wentylacji powodującej choroby i straty paszy, której zwierzę zjada więcej jedynie dla wyrównania strat cieplnych, o doświadczeniach australijskich wykazujących, że odpowiednie naświetlenie wywołuje o 30—40% szybsze odrastanie runa u owiec. Na koniec słyszy, że spośród trzech elementów w hodowli: pielęgnacji, żywienia i środowiska — a więc budynku — to ostatnie jest najważniejsze, warunkuje rozwój zwierzęcia w 40—50%!

Zestawia te wiadomości z faktami. Plan sześciolatki w zakresie hodowli nie wykonany. W Polsce jest w tej chwili 23 mln. sztuk bydła, trzody i owiec. W 1960 r. mamy mieć 28 mln. W ciągu pięciolatki trzeba wyhodować 6 milionów sztuk więcej. A jednocześnie dać ludziom jeść. Dać więcej.

*

PRZEZ dwa dni wędrowaliśmy wówczas po szosach i bocznych drogach w poszukiwaniu architektury. Trzeba było przejechać parę setek kilometrów, by móc obejrzeć tych kilkanaście konstrukcji, które ilustrują różnorodność prac budowlanych i dorobek. Przez dwa dni unosiliśmy do góry zdziwione brwi, wydawali okrzyki protestu i odkrywali własną nieświadomość spraw. Trzeba było innego spojrzenia. Nie, fotosy z gazet nie są pozbawione prawdy. Ale mają jej tyle, ile może mieć dzisiejszy margines albo wizja jutra.

Teczka reportera nabrzmiała w międzyczasie. Jest w niej wiele jeszcze spraw, do których trzeba powrócić.

Zbigniew Laskowski

Notatki z powstania

(Dokończenie ze str. 3)

trzeci raz w ciągu trzech godzin. Niemcy próbują widocznie w myśl zasady do trzech razy sztuka. Za chwilę lawina ognia znów zwali się na nas. Chłopcy z zaciśniętymi zębami trzymają peemy w dłoniach. Niemcy ruszają do szturmu z krzykiem, lecz ogień naszych peemów nie pozwala im posunąć się ani kroku do przodu. Bez przerwy walą nasze RKm-y. Niemcy w odpowiedzi próbują zasypać nas deszczem granatów. Niemieckie ckm-y walą teraz po zajętych przez nas oknach. Odpowiadamy im seriami i śmiechem, pełnym mściwej, zjadliwej nienawiści.

Po godzinie bezskutecznych zmagań Niemcy wycofują się do swych pozycji wyjściowych zostawiając kilku zabitych na przedpolu. Zrezygnowali już chyba na dzisiaj z dalszego szturmu. Bo bili się z nami przez 4 godziny i nie mogli nas zniszczyć. Są wściekli... Słychać dobrze ich podniesione głosy.

Chłopcy rozprostowują się zmęczeni czterogodzinnym huraganem ognia. Oczy zwracają się na przedpole... Tam, gdzie poległa dzisiaj większość plutonu. Tylko niedobitki bronią jeszcze ruin tego budynku. Reszta na przedpolu i na Koźlej w szpitalu.

Zmierzch ogarnia podwórze szpitalne... tylko czasami padnie jeszcze granat, rozszczekają się krótką, urwaną serią RKm-y. Przedpole ogarnia martwa cisza. Nie słychać już żadnych głosów, nikogo nie widać.

Pod murem rozwalonej kotłowni leży Mały Jędrek. Na piersi, przeszytej serią RKm-u, ogromny skrzep krwi. Skrwawiona ręka zwisa bezwładnie. Nie zdążyła napisać na murach kotłowni:

— Przechodniu, idź powiedz Warszawie...

Spoglądamy na siebie w milczeniu.

A jednak to musi mieć jakiś sens, który wyrasta poza granice naszego rozumienia.

Stare Miasto, 23 sierpień 1944 r.

Sprostowanie

Do publikowanego w wielkanocnym numerze „Dziś i Jutro" artykułu prof. dr Stefanii Skwarczyńskiej pt. „Prometeusz okradziony", z winy redakcji wprowadzono szereg skrótów i dopuszczono do błędów zniekształcających zarówno tekst nadesłanej nam przez prof. dr Skwarczyńską pracy, jak i myśli i zamierzenia Autorki.

Gorąco przepraszamy prof. dr Skwarczyńską, zdając sobie jednocześnie sprawę, że poprzez to z konieczności niepełne sprostowanie tylko w znikomym stopniu możemy naprawić szkodę wyrządzoną Autorce i Jej cennej pracy. Redakcja

JERZY OLKIEWICZ

SZKOŁA LOGIKI

SŁOWO „barok" kojarzy się zwykle z czymś tłustym, rozwichrzonym, powikłanym, przyprawionym listkiem bobkowym nonsensu i szczyptą szaleństwa. Taki — zdawałby się — jest oficjalny pogląd na ten okres sztuki. Barokowe zawijasy, kulfony, przysłowiowe łapanie się prawą ręką za lewe ucho, chodzenie na rękach — wszystkie zewnętrzne, często cudaczne rekwizyty baroku pozornie usprawiedliwiają ten pogląd, tylko pozornie. Jeżeli barok można niekiedy nazwać szaleństwem, to jest on szaleństwem matematyka; zabawą karnawałową filozofów połączoną z rzucaniem konfetti i pokazami ogni bengalskich.

Nie wszystko, co złożone, musi być niejasne. Barok jest rozkrzyczany i rozgestykulowany, ale sprawy, które wykrzykuje — to sprawy zupełnie sensowne, ubrane w modny fantastyczny kapelusz z pióropuszem i buty na bardzo wysokich obcasach. Barok jest pewną efektowną manierą myślenia — nie jest bezmyślnym efekciarstwem. Jest pewna różnica między epoką Gautiera i Berlioza, kiedy modne było sypianie ze sztyletem pod poduszką, plucie krwią i umieranie przed trzydziestym rokiem życia — a tym okresem rozbuchanych architektów, pojedynkujących się rzeźbiarzy, pijanych malarzy i troszeczkę postrzelonych włoskich kanoników piszących śliczną muzykę.

Właśnie na terenie muzyki przy ocenie tego okresu powstaje najwięcej nieporozumień. Muzyka baroku jest złożona, ale bardzo jasna. Pyszne frazy, okresy muzyczne tłuste i okrągłe jak świeże pączki, wspinanie się po bogato złoconej drabinie do nieba pełnego górnolotności i patosu — to dziś z perspektywy historycznej, po odsłonięciu konkretu spod grubej warstwy rekwizytów — największy prawdopodobnie okres historii muzyki. Największy i przedziwnie sensowny.

Rzadko kiedy można uprzytomnić to sobie z taką siłą, jak wtedy, gdy jest możność bezpośredniego zetknięcia się ze świetnie wykonaną, wielką barokową kompozycją. Tę okazję mieliśmy w Warszawie w związku z przyjazdem Zespołu Radia Berlińskiego. *Mesjasz* Händla i *Msza h-moll* Bacha, w jego wykonaniu, to przeżycie wyjątkowej wagi i wyjątkowej siły.

W HISTORII muzyki wielcy twórcy chodzą zwykle parami. Pary jak zwykle — żyją w różnej zgodzie. Czasem są idealnym dopełnieniem, czasem kłócą się na zabój. Haydn i Mozart, Beethoven i Brahms, Schubert i Schuman, Wagner i Verdi, Strawiński i Schönberg. Jedną z tych par jest Bach i Händel. Zbyt słabo się wzajemnie znali, żeby się kłócić — za bardzo się wzajemnie uzupełniają, żeby ich nie kojarzyć razem. Urodzili się w tym samym roku, w podobnych kołyskach ich usypiano, w podobnych chodzili perukach i pisali dość odrębną muzykę mającą wprawdzie wspólne cechy stylistyczne, ale odrębne cechy indywidualne. Są muzycy jak orły — to Beethoven, są jak rajskie ptaki — to Berlioz, są jak indory — to Ryszard Strauss. Bach i Händel to bardzo patetyczne i bardzo wielkie sowy.

Motorem muzyki Bacha, o którym jeszcze niedawno bardzo często zapominano — albo usiłowano zapomnieć — jest religia. Bach był żarliwie wierzącym protestantem, co mu bynajmniej nie przeszkadzało pisać katolickich mszy. Prawdziwa wielkość Bacha, którą dziś tak doceniamy, a z której nie zdawano sobie sprawy jeszcze sto lat temu, leży w tym, że potrafił scalić w twórczości cały współczesny sobie muzyczny dorobek. Bach nie tylko ulegał wpływom, ale świadomie potrafił wykorzystywać cudzą muzykę. Trudno wprawdzie nazwać wykorzystywaniem transkrypcje koncertów Vivaldiego; to są zwykłe kopie z częstą zamianą instrumentów koncertujących — podobno jedynym oryginalnym koncertem fortepianowym Bacha, spośród wielu wykonywanych pod jego firmą, jest koncert D-dur. Mimo wpływów i zapożyczeń (Vivaldi, Buxtehude, Couperin) Bach potrafił tworzyć muzykę oryginalną: dziś dla nas symbol muzyki XVIII wieku. Zresztą przy wszelkich doszukiwaniach się wpływów popełnia się zwykle jeden podstawowy błąd: pomniejsza się indywidualność twórcy. Bach — tak jak Szekspir — korzystał z obcych wątków, które przetapiał, doskonalił, przetwarzał w sztukę głęboką i własną.

Bach — to muzyka, którą można uważać za najbardziej szlachetne wcielenie niemieckości. Zakres działalności Bacha, jego praca w Niemczech, ogranicza się do koła o promieniu 60 km.; jedyną jego podróżą była wizyta w Karlsbadzie. Przy tej dość ścisłej lokalizacji, Bach wyrasta na jakiegoś niemieckiego domatora, który — świadomy wprawdzie twórczości obcej — tak mocno tkwi we własnym środowisku, że staje się jego jednoznacznym wyrazem.

Obserwując rozwój niemieckiej muzyki, poszczególne wcielenia jej mistrzów — Beethovena, Brahmsa, Wagnera, Straussa — można spostrzec jakieś narastanie histerii, stopniowe łamanie szlachetności — której wyrazem był Bach — prowadzące poprzez tani, a czasem ohydny wrzask Straussa — do zupełnego marazmu muzyki III Rzeszy. Jeden z krytyków filmowych napisał książkę „Od Caligariego do Hitlera", w której analizuje rozwój niemieckiego ekspresjonizmu filmowego, przeradzającego się w chorobę, będącą przeczuciem faszyzmu. Analiza rozwoju muzyki niemieckiej ostatnich 200 lat, byłaby równie ciekawym materiałem.

O ile działalność Bacha jest zlokalizowana ściśle na terenie Niemiec, Händel jest kompozytorem ruchliwym, bardziej międzynarodowym. Wynika to może z jego temperamentu, z żywotności i żywiołowości. Bach osadzony na kantorskiej posadzie nie przeżywał stałych utarczek i męczących sporów, które były udziałem Händla w czasie jego długiego pobytu w Anglii. Potomek generacji muzyków, obsługujących tradycyjne zapotrzebowania muzyczne solidnych niemieckich miast i miasteczek, głęboko tkwiący w tradycji — był człowiekiem ustabilizowanym i spokojnym. Händel bardziej nerwowy, nie związany żadną rodzinną tradycją, siłą faktu posiadał zupełnie odmienne od Bacha tęsknoty i skłonności. Pod tym względem — przez swoją ruchliwość — podobny jest trochę do Mozarta. Szukając odpowiednich warunków dla pracy osiedlił się w Anglii; mimo, że pobyt jego był właściwie jedną ciągłą walką, nie zawsze kończącą się sukcesem, pełną niepowodzeń i rozczarowań — wynikiem tej walki są kompozycje pełne siły i dynamiki. *Mesjasz* powstały przy końcu życia w rewelacyjnie krótkim czasie trzech tygodni, w wyniku gorączkowej pracy, jest najbardziej wybitnym przykładem jego twórczości.

CAŁĄ różnicę w charakterze muzyki Bacha i Händla wyraźnie można dostrzec na przykładzie dwóch utworów wykonanych przez Zespół Radia Berlińskiego. Zespół jest świetny, jego kośćcem jest doskonały chór o niezwykle wyrównanych głosach. Koncepcja dyrygenta — Helmuta Kocha — w zasadzie tradycyjna, umiarkowanie stopniująca wyraz dramatyczny *Oratorium i Mszy*, unikająca przesady i przewagi partii solistów nad partiami chóru triumfuje dzięki wielkiej sprawności technicznej orkiestry, chóru i dobrym — choć niewielkim — głosem solistów.

Muzyka Bacha, bardziej kontemplacyjna, lepiej brzmiała w interpretacji Kocha. *Mesjasz* Händla, znany z doskonałych nagrań angielskich, jest może zbyt umiarkowany, ale to jest kwestia osobistego odczucia. Wypływa to z tego, że Händel jest patetyczny. Nie posiadając może bachowskiej głębi, ma więcej rozmachu i jest siłą faktu — jako kompozytor wielu oper — teatralny i dramatyczny. To jest jeden z paradoksów Händla: kompozytor bardziej od Bacha nowoczesny jest zarazem bardziej barokowy, rozhukany.

Bach tkwi w konwencji przeszłości. Jego kontemplacja, skupienie, opanowanie a nawet skromność — to cechy wypływające z tradycji majstrów od muzykowania. Cała dotychczasowa wiedza muzyczna skupia się w jego twórczości, znajduje w niej najpełniejsze wcielenie, ale twórczość Bacha nie wytycza żadnych nowych linii rozwoju. Jest zbyt pełna, zbyt doskonała, za bardzo może zaabsorbowana własną doskonałością, żeby emanować jakieś wartości odkrywcze, żeby być wynalazkiem.

Barokowość Händla nie tkwi w złożonej fakturze polifonicznej — pod tym względem Bach jest bardziej „barokowy". W muzyce Händla występuje element tego specjalnego, typowego dla całej epoki patosu, wspólnego architekturze czy malarstwu. Świetna barytonowa aria „z trąbkami" w III części *Mesjasza*, czy popularne *Alleluja* to najlepszy przykład tej cechy. Bach nigdy nie ujawniał jej z taką siłą. Patetyczny triumf Händla jest mu dość obcy.

Nowoczesność Händla, to jego dbałość o prostotę i kultywacja form muzycznych, które w tym okresie historii były formami postępowymi. Jest to okres przełomowy, kiedy kończy się hegemonia muzyki kościelnej, a muzyka świecka przejmuje rolę kierowniczą. Konieczne było przetworzenie dotychczasowych, tradycyjnych form muzyki kościelnej na gatunek bardziej zbliżony do utworów świeckich. Tą unowocześnioną formą mszy było oratorium i kantata. Czysto religijną inspirację Bacha przygniatają swoją powagą, są raczośni, a czasem weseli. Śmiertelnie poważny może być Wagner; u niego rozpacz jest rozpaczą kosmiczną, rykiem pełnym bezbrzeżnego przygnębienia i bezmiernego smutku. U Bacha największa powaga ma w sobie nastrój pogodnej, trzeźwej kontemplacji. To samo odnosi się do patosu Händla, który jest w pewnym stopniu przeczuciem Beethovena. Patos Beethovena jest sprawą życia i śmierci, patos Händla — sprawą sztuki.

Miarą artyzmu i kultury pianisty jest sposób interpretacji jakiegoś koncertu fortepianowego Mozarta. Miarą kultury słuchacza jest reakcja na osiemnastowieczną muzykę. Przez muzykę baroku prowadzi droga do muzyki nowoczesnej. Kochając muzykę Schuberta czy Czajkowskiego często poprzestaje się na Schumanie czy Rachmaninowie. Kochając klasyków osiemnastego wieku — można dojść do Strawińskiego i Schönberga.

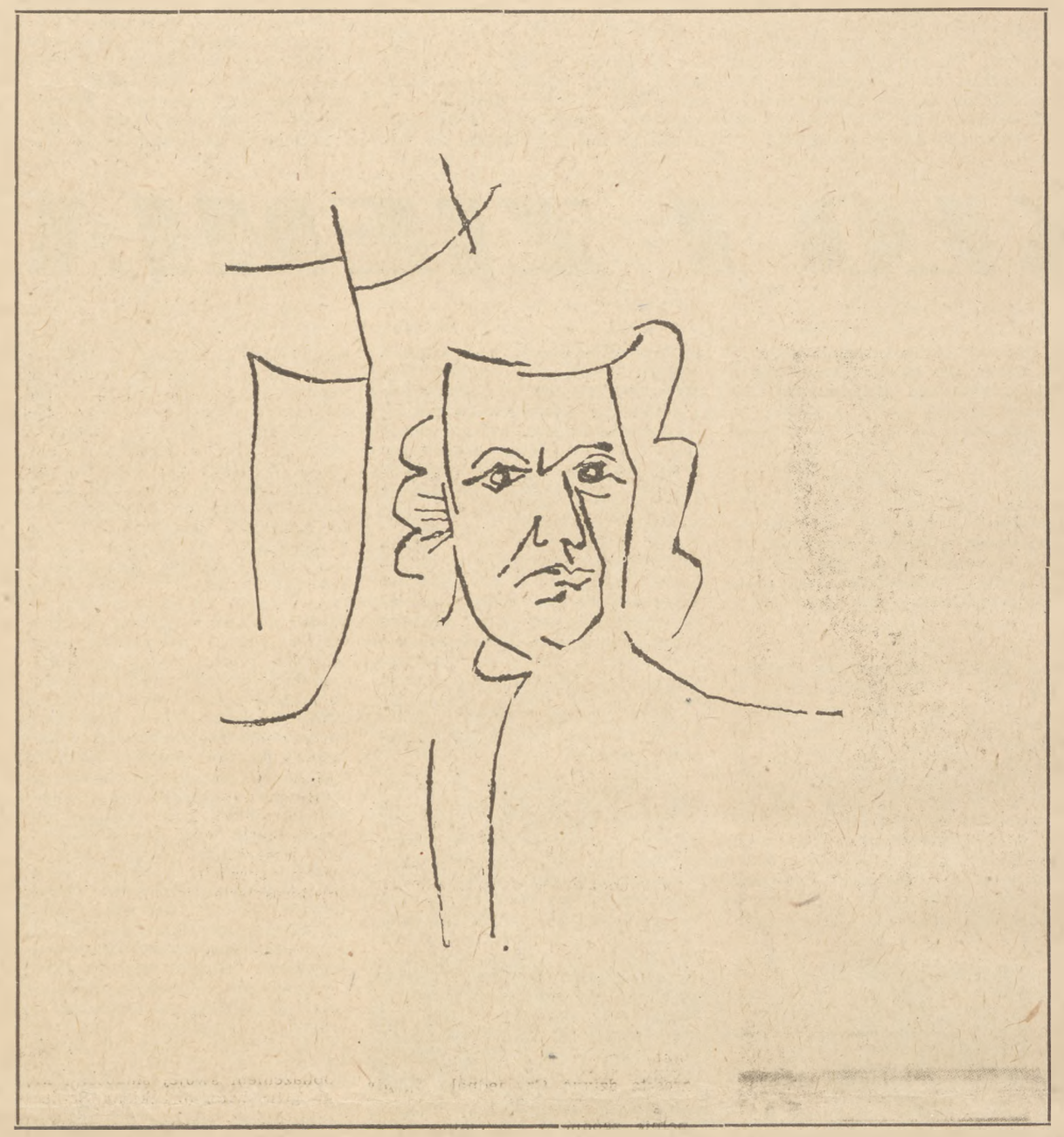

Rrrewelacja, demonstracja, szanowne obywatele, szanowne obywatelki, wstępujcie, kupujcie, obraziki, landszafciki, damy w stroju, dziewczynki w sawoju, rembranty, hogarty, dla każdego coś miłego, dziś za pieniądze, jutro za darmo...

Słyszeliśmy. Tak propagują swoje „zachody słońca" i „panie z kotkiem" uliczni handlarze jarmarków, bazarów i ciuchów. Mogliśmy nawet ich niedawno oglądać w kronice filmowej. Bardzo słusznie podjęto kampanię przeciw zalewowi najokropniejszej szmiry. Jeszcze słuszniej wołano o wyparcie złej produkcji przez dobrą, popularyzację grafiki, pocztówkowe reprodukcje dzieł sztuki lub zamówienia u współczesnych artystów.

Cóż, kiedy lekarstwo jest gorsze od choroby. Reprodukujemy wybór pocztówek, w jakie zaopatrzono nasze kioski w sezonie świątecznym. Powie ktoś, że są świetne i będzie miał rację. Istotnie, autorem jest jedna z naszych najlepszych rysowniczek. I to jest najsmutniejsze. Bo gdyby wyszły spod ręki studentki I roku PWSP — powiedzielibyśmy: „trudno, chłopak potrzebował zarobić na święta". Ale kiedy czołowi plastycy do spółki z zawodowymi literatami propagują coś z pogranicza pornografii i grafomanii — robi nam się ciężko na sercu.

DO KARCIARZY

O stare chłopy — Z sumymi wąsami — Że to wam nie wstyd — Bawić się kartami — O pójdźcie ze mną — Na grzyby do lasu — Na karty szkoda — Czasu i atłasu

NA PŁOTKARKĘ

Kiedy przychodzi pani K.
Wtedy wybucha panika.

(Dokończenie ze str. 1)

noramie ziemi i nieba. Rzeczywiście, nigdzie nie było tak pięknie, jak w górach... Tylko przypominał się tamten kształt zarzucony workiem. I przeszywał wtedy Izoldę przeraźliwy strach.

Zrabowane pieniądze skończyły się szybko. W Zakopanem nie było co robić, a Tristan nie otrzymał odpowiedzi na swoje listy do kolegów z kursu. Przyszły trochę później. Ktoś z Świdnicy pisał, że Tristan jest... bardzo uspołecznioną jednostką i że jest bardzo ideowy, że na kursach wykazał się bardzo pozytywną postawą... W tym samym czasie rozchodziły się listy gończe.

Dalszym etapem w ostatniej podróży Izoldy był Kraków. Tam było bardzo ciężko. Trzeba było się kryć, brakowało jedzenia, pieniędzy.

Któregoś dnia Tristan powiedział:

— Słuchaj, nie ma innego wyjścia. W nocy pójdziesz na planty, a w dzień będziesz się plażować nad Wisłą. Forsą się podzielimy...

Tristan i Izolda

Oto są dzieje miłości Tristana i Izoldy. Dalszy ich wątek urywa się na sali sądowej.

W ciemnym rogu ławki siedzi drobna, bardzo szczupła kobieta. Ma zmęczoną twarz o regularnych rysach i błyszczące, skośne oczy.

Izolda.

Posłuchajcie, co Izolda powiedziała swojemu obrońcy:

— Za dużo, proszę pani, przeszłam. Wolę brać winę na siebie. Ja mam przecież rozpadową gruźlicę, a on jest młody i ma całe życie przed sobą...

A co pod koniec rozprawy powiedział Tristan, „wzorowy człowiek z kursu":

— Oczywiście, przyznaję, popełniłem dużą winę. Ale w więzieniu odpokutuję i potem będę pracował dalej...

Tristan był do końca pewny siebie. Miał prywatnych obrońców, miał opinie, nad którymi — co prawda — krzyczał z oburzenia prokurator, był młody, no i to się zdarzyło pierwszy raz. W afekcie...

Przyjrzyjcie się jeszcze raz młodej dziewczynie. Zapamiętajcie wszystko! A więc tamtą ponurą drogę szesnastoletniego człowieka, która prowadziła przez Berlin, przez powiatowe więzienie, przez beznadziejne poszukiwanie pracy, przez potworną miłość w brudnej knajpie, przez tamto wszystko...

Za chwilę będzie za późno... Tak czy inaczej, Izolda choruje na rozpadową gruźlicę płuc... Nauczcie się dobrze jej samotności. Żeby wam nie uszedł z pamięci żaden szczegół tej prawdziwej powiastki o miłości. Niech was ta miłość gryzie!

Posłuchajcie jeszcze epilogu. Mówi człowiek ze srebrnym łańcuchem:

— ...W Imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej sąd uznał za winnych Tristana i Izoldę... W stosunku do Tristana i Izoldy sąd zastosował najwyższy wymiar kary...

BYŁ szary, jesienny dzień, kiedy nazajutrz siedzieliśmy z łysym mężczyzną we wrocławskiej kawiarni pochyleni nad świeżymi płachtami gazet.

Łysy mężczyzna mieszał cukier i jąkając się ze zdenerwowania opowiadał o swojej rozmowie z sądowym sprawozdawcą.

— Czytaliście, co ten dureń napisał?...

Sprawozdanie nie różniło się niczym od wielu podobnych sprawozdań sądowych, jakie ukazują się w naszej prasie. Była tam mowa o wstrętnej zbrodni, o degeneratach i wyrzutkach, o ręce sprawiedliwości.

— Wiecie co — łysy mężczyzna przechylił się przez blat stolika — kiedy przyglądałem się tej dziewczynie, było mi strasznie żal i jednocześnie ogarniała mnie okrutna wściekłość. Sam się pytałem: kto jest winien w tej sprawie? Bydlę, które zaciągnęło ją do Berlina, potem ci wszyscy obojętni ludzie, którzy umieli skazywać na więzienie, kto był winien, że po wyjściu z więzienia nie mogła znaleźć pracy, że nikt się nią nie interesował, kiedy już pracowała? Tych ludzi trzeba by usadzić na ławie oskarżonych. A obok nich kretynów, którzy wypisywali idealne opinie o człowieku, który był złodziejem, mordercą, a którego znali z kilkumiesięcznej obserwacji... Tak, proszę was, można było na tej sprawie osiwieć. A ten dureń z gazety napisał tylko tyle. Co on wie o życiu?... Tylko tyle, żeby uzbierać pieniądze, wyjechać z dziennikarską legitymacją do Zakopanego. ...Dlaczego nie napisał prawdy? Dlaczego nie zanotował tego jednego zdania: „Za dużo w życiu przeszłam... Nie chce mi się żyć..." Dlaczego? Pewnie się bał.

— Czego?

Łysy mężczyzna pisze książki. Z okien wrocławskiej kawiarni przypatruje się ludzkim sprawom. Odpoczywa po swoim wcale nie łatwym życiu. Kiedy pada pytanie, czego mógł się bać prowincjonalny dziennikarz — łysy mężczyzna pochyla głowę.

Widzicie, gdyby się o tej sprawie napisało tak, jak powiedziałem, można by przypuszczać, że to jest uogólnienie, rozumiecie?... Żyć by się nie chciało. Można by myśleć, że wszędzie siedzą tylko łajdaki, zapatrzone we własny pępek urzędasy, złodzieje i dziwki. Wróg by to podchwycił... To nie jest, proszę was, temat do książki. To jest wyjątek. Tragiczny, przeraźliwie tragiczny wyjątek. Ale nic więcej. Zniszczone życie jednego człowieka... Rewolucja zapisze w swojej historii i takie wyjątki. Trudno.

Chciałem zapytać, kto pozwolił łysemu mężczyźnie mówić o rewolucji w ten sposób? To, co mówił o wyjątku, o obawach przed wrogiem — było kłamstwem. Tak samo, jak kłamał sprawozdawca sądowy. Bo to, co mówił, było obroną wszystkich po kolei przyczyn tamtego wyroku.

Nie znam się na subtelnościach kodeksu karnego, nie pamiętam śpiewnie cytowanych paragrafów... I zresztą nie one były jedynym dzwonkiem alarmowym. Rewolucja nie rozgrzesza winnych. A w tamtej sprawie winni byli przede wszystkim ci, którzy przyczynili się do ponurej, ludzkiej samotności. Ci, którzy zgubili ślad Izoldy wtedy, kiedy był jeszcze czas na naprawę błędów. Do takich faktów wraca historia. Kto wie, czy nie wyda ona drugiego wyroku. Trzeba ten wyrok uprzedzić. Trzeba wskazać prawdziwych wrogów. A oni są wśród nas. Kryją ich maski „przeciętności". Sami uważają się za dobrych pracowników, za ludzi dobrze spełniających nakładany na nich obowiązek. Często lubią mówić o tym — co to jest „powszechne dobro". Rzekome „powszechne dobro" odegrało w sprawie Tristana i Izoldy ważną rolę. Tych wrogów nie potrzebujemy się obawiać. Ale, jak z nimi walczyć? Na pewno rozwijać ich świadomość. Tylko, że nie zawsze taka walka może wystarczyć. Tak samo, jak nie wystarczy krzyk prokuratora, który odczytuje idiotyczne opinie, nie wystarczy nawoływanie do „ludzkiego myślenia" wówczas, kiedy na przykład odbyta w więzieniu kara zamyka przed człowiekiem możliwość powrotu do życia. Tych wrogów nie potrzebujemy się bać. Musimy ich stale widzieć.

Wiem, że łysy człowiek będzie wracał parkiem nad Odrą do swojego spokojnego domku. Potem zamknie się w dużym pokoju z szerokimi oknami i chociaż tak dobrze zna życie, nie usiądzie do maszyny. Nie napisze książki o Tristanie i o Izoldzie. Będzie się bał. Będzie wolał milczeć. Nawet wtedy, kiedy milczenie okaże się kłamstwem.

Władysław Lech Terlecki